

Teresa Southwick

Trzeba je tulić i kołysać

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Naprawdę chce pan z nami pracować?

Liz Anderson spojrzała na mężczyznę po drugiej stronie biurka. Miała nadzieję, że udało jej się przy tym uniknąć rozanielonego spojrzenia, co nie było łatwe, bo miała przed sobą najprzystojniejszego bruneta na świecie. W duchu pogratulowała sobie, że język nie odmówił jej posłuszeństwa.

– Dziwi to panią?

– Owszem, bardzo.

Przybysz nie spuszczał z niej lekko rozbawionego wzroku. Widziała go nie po raz pierwszy. Jakiś rok temu wyciągnęła go za uszy ze szpitalnego pokoju siostry, której składał wizytę po godzinach odwiedzin. Swoją drogą, sama nie wiedziała, jak to zrobiła, wzięwszy pod uwagę jego wzrost.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego to panią dziwi.

Głos tego człowieka działał na nią równie silnie jak on sam. Opanowała się z wysiłkiem.

– Z tego prostego powodu, że mężczyźni zgłaszają się do nas bardzo rzadko.

– Ich strata.

On po prostu próbuje z nią flirtować! Trzeba reagować

natychmiast i stanowczo.

– Panie Marchetti, opieka nad dziećmi to bardzo poważna sprawa.

Twarz rozmówcy zajaśniała jak słońce.

– Widzę, że mnie pani pamięta.

Ukazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby jak z reklamy najlepszej pasty świata, i lekko dotknął swojego ucha.

– Za ucho mnie pani wyciągnęła.

Wyglądał tak niesamowicie, że Liz ucieszyła się, że siedzi i może ukryć drżenie kolan.

– Trudno pana zapomnieć – mruknęła.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Słuch najwyraźniej miał dobry; na oko zresztą trudno się było w nim dopatrzeć jakiejś niedoskonałości...

Siedział teraz przed nią na brzegu biurka, tak jakby w pokoju brakowało krzeseł, dowodząc raz jeszcze, że żadne reguły go nie obowiązują.

Rozluźnił krawat; w wycięciu białej, lekko rozpiętej koszuli dostrzegła ciemne włosy i odwróciła wzrok. Doszedł ją zapach dobrej wody kolońskiej i poczuła się jeszcze bardziej niepewnie. Zauważyła ciemny zarost na twarzy swojego gościa i pomyślała, że najlepiej by zrobił, gdyby wrócił do domu i się ogolił.

Dochodziło wpół do siódmej.

Patrzył na nią, jakby czytał w jej myślach, pewny wrażenia, jakie wywiera. Liz otrząsnęła się; nie da mu się osaczyć, nie ma powodu, by mu poprawiać i tak znakomite samopoczucie. Przyszedł do niej w konkretnej sprawie i należy udzielić mu konkretnej odpowiedzi.

– I co jeszcze pani pamięta?

Pytanie było nieoczekiwane i bardzo krepujące. Pamiętała doskonale, że kiedy mu zwróciła uwagę na nieodpowiednią porę odwiedzin, zagroził jej, iż ją zamknie w schowku na szczotki, a potem zaczął się umawiać z jedną z pielęgniarek, którą następnie porzucił w obrzydliwy sposób. Liz nie bardzo lubiła tę dziewczynę, ale to nie powód, by jej nie współczuć.

– Że był pan tu wtedy z atrakcyjną blondynką. Zmarszczył czoło, jakby próbował sobie przypomnieć, o kogo chodzi, a potem odetchnął z ulgą.

– To była moja sekretarka. Przyniosła prezent dla dziecka mojej siostry; mąż czekał na nią w samochodzie.

Nic jej nie obchodzi, kim jest dla niego ta blondynka; to nie jej interes; ona tutaj pracuje.

– Chciałabym pana o coś zapytać.

– Śmiało.

– Czy naprawdę przyszedł pan tu dlatego, że chce się pan

zajmować dziećmi?

– Tak. – Energicznie potrząsnął trzymanym w dłoni pomarańczowym formularzem. – Tu jest wszystko napisane.

– Chce się pan opiekować niemowlętami? Stanowczo skinął głową.

– Właśnie.

– Wolałabym się upewnić, że dobrze się rozumiemy. Zupełnie nie widziała go w tej roli. Nie mogła sobie wyobrazić, jak ktoś taki mógłby kołysać i przytulać niemowlę. Do pana Marchettiego doskonale pasowała długonoga blondynka, ale małe płaczące zawiniątko raczej nie. Zresztą był jeszcze inny aspekt całej sprawy: dziewięćdziesiąt dziewięć procent wolontariuszy stanowiły kobiety; mężczyźni się tu prawie nie widzieli, nie licząc kilku emerytów wpadających od czasu do czasu w nadziei, że mogą się na coś przydać.

– Czy pan zdaje sobie sprawę...

– Na imię mam Joe.

– Co takiego?

Zerknął na złotą tabliczkę na jej biurku.

– Liz, mam na imię Joe.

Bohatersko zniosła spojrzenie, które w brukowym romansie określono by mianem uwodzicielskiego.

– Dobrze, Joe, pytam, czy zdajesz sobie sprawę, na czym to

polega?

– Chyba tak.

Wyprostowała się i spojrzała na niego obojętnie i oficjalnie. Tylko ona sama wiedziała, ile ją to kosztuje.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że ktoś taki jak ty.. , Przerwał jej.

– Mogłabyś łaskawie zdefiniować, co masz na myśli? Zawahała się, lecz po chwili podjęła spokojnym głosem:

– Człowiek dobrze sytuowany, aktywny, samotny i... Jego pytające spojrzenie stało się jeszcze bardziej intensywne.

– I co jeszcze?

Nie mogła powiedzieć „przystojny” ani „atrakcyjny”; musiała znaleźć coś bardziej bezpiecznego.

– Tak bardzo zajęty. Joe przeciągnął się.

– Wszystko prawda, tylko skąd wiesz, że jestem kawalerem?

Pomyślała, że tak uwodzicielsko zachowywać się może tylko ktoś, kto nie ma żony, i zaraz ugryzła się w język. To wcale nie jest wyłącznie domena kawalerów. Znała niejednego żonatego mężczyznę, który uganiał się za spódniczkami jak szalony. Ograniczyła się jednak do banalnego stwierdzenia.

– Nie masz obrączki. Zresztą... – wzięła do ręki formularz – tutaj jest wszystko napisane.

Joe przeniósł wzrok z kartki papieru na swą dłoń. Idąc za jego

spojrzeniem, spostrzegła, że ma piękne, silne dłonie o długich palcach. W chwilę później dobiegł ją jego głos:

– Mam wrażenie, że wątpisz w moje dobre intencje. Nie rozumiem dlaczego. Widziałaś mnie tylko raz w życiu.

– Tak, kiedy twoja siostra była naszą pacjentką. Znowu dotknął ucha – i musiała się uśmiechnąć.

– Nie podporządkowałeś się przepisom, dlatego musiałam cię wyprosić.

Zrobił minę urażonej niewinności.

– Wyprosić? Wyrzuciłaś mnie jak psa, a przecież wystarczyłoby, gdybyś mnie było po prostu ładnie poprosiła. Sam bym wyszedł.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Liz opanowała się pierwsza.

– Potrafisz człowieka zagadać, nie ma co. Joe spoważniał.

– Ja potrafię jeszcze niejedno – dodał melodyjnym głosem. – Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Dlaczego miałbyś mnie ostrzegać?

– Ty jesteś tu pielęgniarką, a ja właśnie zostałem tu wolontariuszem, więc chyba będziemy się często spotykać...

– Tak myślisz?

– Owszem.

– Posłuchaj mnie, Joe. Nasz program opieki nad niemowlętami szczegółowo określa ich potrzeby. Bezpośrednio po narodzeniu

dziecko potrzebuje ogromnej czułości i ciepła, żeby się odnaleźć w nowym, początkowo nieprzyjaznym środowisku. Badania dowodzą, że dzieci częściej przytulane szybciej przybierają na wadze.

– Słyszałem o tym.

– Mniej płaczą, są bardziej pogodne, lepiej śpią i znacznie szybciej się rozwijają.

– Rozumiem.

– Ludzie, którzy jako małe dzieci nie zaznali czułości, nie potrafią jej okazywać i w ten sposób koło się zamyka. Wolontariusze pracują z dziećmi pochodzącymi z rodzin podwyższonego ryzyka. Celem naszego programu jest przerwać to zakłęte koło emocjonalnego niedoboru.

– Jasne, nie musisz mnie przekonywać.

– Muszę jednak wiedzieć, że możemy na ciebie liczyć.

– Nie bardzo rozumiem.

– Pozwól, że cię o coś zapytam.

– Zamieniam się w słuch.

Znowu dotknął ucha, ale tym razem się nie uśmiechnęła.

– Dlaczego właściwie do nas przyszedłeś? Zamyślił się na chwilę, jakby coś sobie przypominał.

– Wiesz, po tym, jak mnie wyrzuciłaś, kiedyś tu wróciłem. Twoje koleżanki mnie wpuściły i pozwoliły chwilę zostać.

Nic dziwnego, przemknęło przez głowę Liz, z takim wyglądem i uśmiechem wpuściłyby cię wszędzie.

– Przyglądałem się, jak wolontariusze noszą dzieci, jak je do siebie tulą. Jedna z pielęgniarek wszystko mi wyjaśniła. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Jedna z pielęgniarek... Od początku było oczywiste, po co tu przyszedł. Upatrzył sobie idealne miejsce na podryw. W szpitalu roi się przecież od młodych kobiet, a niektóre nieraz bardzo się nudzą na nocnym dyżurze.

– O ile dobrze pamiętam, twoja siostra rodziła u nas rok temu. Dość długo zwlekałeś.

Zamrugnął powiekami.

– Byłem okropnie zajęty.

– A teraz?

– Moja sekretarka niedawno urodziła wcześniaka. Był w bardzo złym stanie. – Jego twarz posmutniała.

Liz westchnęła ze współczuciem, a Joe mówił dalej:

– Teraz już wszystko w porządku, ale dziecko wymaga opieki i ona musi się nim zająć. Straciłem swoją najlepszą sekretarkę.

– To przykre.

– Odeszła z pracy, bo nie ma rodziny, a nie chce powierzyć swojej córeczki obcej osobie. Podziwiam ją, bo taka decyzja jest oczywiście niekorzystna dla niej finansowo. W każdym razie, póki

była w szpitalu, miałem okazję zobaczyć, jak wiele znaczy pomoc waszych wolontariuszy. Sama nie mogłaby nosić małej dwadzieścia cztery godziny na dobę i tulić jej. Zrozumiałem, że ta praca ma sens.

Musiła uznać, że opowiedział jej to w dobrej wierze. Pozostała jeszcze tylko jedna sprawa.

– Nasi wolontariusze pracują wedle ścisłego grafiku. Pielęgniarki muszą mieć pewność, że każdy przyjdzie o określonej porze, a ty przecież jesteś bardzo zajęty.

Joe zmarszczył brwi.

– Jesteś aktywnym zawodowo samotnym mężczyzną, nie masz chwili wolnego czasu...

– A niby skąd to wiesz?

Zmieszła się, ale tylko na chwilę; nie miała wątpliwości, do jakiego rodzaju mężczyzn należy jej rozmówca.

– Nieważne. Wyglądasz na kogoś, kto... Dobrze, wyobraźmy sobie taką sytuację: spotykasz kogoś i masz ochotę spędzić z tą osobą dłuższą chwilę, ale nagle przypominasz sobie, że masz u nas dyżur. Kogo wybierzesz? Tę osobę, nazwijmy ją panną X, czy płaczącą trzydniową dziewczynkę z okropną kolką? Zastanów się, którą? Joe podrapał się w brodę.

– Ciężka sprawa. A ta panna X jest blondynką czy brunetką?

– A jakie lubisz?

– Wysokie, z rudymi włosami.

Myśl, że sama jest drobną brunetką, nieoczekiwanie sprawiła Liz wielką przykrość. A przecież powinna raczej się ucieszyć, że nic jej nie grozi z jego strony.

– W takim razie powiedzmy, że panna X jest wysoka i ruda.

– Powiedzmy.

– Jesteś nieznośny, od początku to zauważyłam.

– Serdeczne dzięki.

Rozmowa stawała się beznadziejna; Liz z rezygnacją pokręciła głową.

– Chciałam ci po prostu uświadomić, że w przypadku takiej sytuacji wybierzesz pannę X, ze szkodą dla dzieci. Potrzebujemy ludzi, na których możemy liczyć. Płaczące dziecko trzeba wziąć na ręce i przytulić od razu, a nie wtedy, kiedy się ma chwilę wolnego czasu.

– Nie doceniasz mnie.

– Nie chodzi o ciebie, to dotyczy wszystkich mężczyzn.

– Czyli główną przeszkodą jest tu moja płeć.

Już miała zdecydowanie przytaknąć, ale się powstrzymała.

– Zrozum, pracują z nami wyłącznie kobiety.

– Czy to aby nie dyskryminacja?

– Nie, chodzi nam tylko o dobro dzieci.

– Nigdy bym żadnego nie skrzywdził.

– Nie mówię, że zrobiłbyś to specjalnie, ale mógłbyś czegoś zaniedbać.

Joe nagle wstał; z jego twarzy zniknął uśmiech, głos stał się metaliczny i surowy.

– Nigdy nie zaniedbałbym żadnego dziecka. Werze, że są największą wartością świata.

Dziwne, pomyślała; w jego ustach wcale nie zabrzmiało to jak żart. Taki poważny i nieco rozgniewany podobał jej się jeszcze bardziej. Ona również się podniosła.

– Wszystko okaże się w praktyce.

– Przyjmujecie każdego, kto się zgłosi...

– Zasadniczo tak. Nie mamy ściśle określonych reguł działania, nasz program jest jeszcze bardzo młody.

Joe pytająco uniósł brwi.

– Od kiedy działacie?

– Dopiero od roku, a ponieważ nie brakuje głosów, że wolontariusze bardziej przydaliby się gdzie indziej, staram się nie dostarczać argumentów naszym przeciwnikom. Muszę być wymagająca.

Spojrzał na nią z góry.

– Słucham, jaki jest zakres moich obowiązków?

– Otwartość i gotowość. Dyżur co najmniej trzy godziny w tygodniu. Pierwszy miesiąc praktyki na oddziale noworodków,

potem przenosiny na intensywną terapię. Z grubsza na tym to polega.

– Załatwione. Kiedy mam się stawić?

Liz zerknęła w rozłożone na biurku papiery.

– W sobotę o dziewiątej, tylko punktualnie.

– Jasne.

Podsunęła mu zadrukowaną kartkę.

– Przeczytaj to uważnie i podpisz.

Znała ten tekst na pamięć. Regulamin dotyczył zasad postępowania wolontariuszy, ich praw i obowiązków; ściśle określał warunki, na jakich dyrektor programu może zatrudniać i zwalniać. Chyba Essie Martinez da Joemu szansę, chociaż jest tak zabójczo przystojny...

– Mogę prosić o coś do pisania?

Modląc się w duchu, żeby to nie był błąd, podała mu pióro i Joe złożył swój zamaszty podpis.

– W takim razie widzimy się w sobotę rano.

– Punktualnie o dziewiątej.

Liz zebrała papiery i ruszyła w stronę drzwi.

– A teraz przepraszam, ale...

– Gdzie ci tak spieszno? Masz randkę?

– Tak jakby. We wtorki i czwartki wieczorem mam zajęcia z młodymi matkami.

Wyszli na korytarz i Liz zaczęła zamykać drzwi.

– Tak sobie pomyślałam... Nasi wolontariusze czasem biorą udział w tych spotkaniach, to im bardzo pomaga. Może mógłbyś pójść tam teraz ze mną? Oczywiście, jeśli masz czas.

Joe nie zawahał się ani chwili.

– Pójdę z przyjemnością.

Bardzo dobrze, pomyślała, to będzie doskonała próba. Nawet lepiej, jeśli się przestraszy i zrezygnuje od razu.

Joe siedział na zielonym plastikowym krześle w sali numer dwa i patrzył na Liz. Stała w drzwiach i witała wchodzące kobiety. Były młode i zmęczone; większość przyszła z dziećmi.

Nie spuszczał oka z Liz Anderson. Była drobna, szczupła i bardzo atrakcyjna, chociaż nie należała do tych kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy. Miała krótko obcięte kasztanowe włosy i wielkie ciemne oczy. Była prześliczna.

Miły ten widok zakłócała jednak pewna myśl. Mimo że przed chwilą rozmawiali sobie dość miło, a nawet żartowali, Joe czuł, że Liz wcale nie chciała go przyjąć. Czekala tylko, żeby się wycofał. Ciekawe dlaczego. I w jakim celu zaprosiła go na to spotkanie?

Witała się ze swoimi słuchaczkami bardzo serdecznie, a kiedy spoglądała na dzieci w ramionach matek, jej buzia rozplýwała się w uśmiechu, a oczy przybierały rozmarzony wyraz. Ciekawe, czy ma własne dzieci. Obrączki co prawda nie nosi, ale to przecież nic

nie znaczy.

– Myślę, że możemy zaczynać – powiedziała Liz i przeszła na środek sali.

Matki zasiadły za długim stołem, kładąc torby z pieluchami i innymi akcesoriami obok siebie. Liz zajęła miejsce za pulpitem. Joe przesunął się bliżej. Uniosła na niego wzrok.

– Mamy dzisiaj gościa – oznajmiła. – Joe Marchetti postanowił przystąpić do naszego programu opieki nad nowo narodzonymi dziećmi.

Poczuł na sobie spojrzenia zebranych kobiet. Nie dostrzegł w nich zdziwienia. Niektóre z matek dyskretnie karmiły swe pociechy, inne stały, kołysząc je w ramionach, jeszcze inne – te najszcześniejsze – z dumą spoglądały na uśpione twarzyczki.

– Dzień dobry – odezwał się. – Nie mogę powiedzieć, że czuję się tu bardzo na miejscu.

Liz chrząknęła.

– Często ktoś nas odwiedza. Kiedy ma się małe dzieci, wizyta nieraz przypada w niezbyt właściwym momencie. To normalne.

Spojrzał na nią pytająco.

– Ojcowie też tu przychodzą?

– To jest grupa wsparcia dla matek – wyjaśniła Liz.

– Rozumiem, ale myślę, że jakiś ojciec też mógłby tu wpaść ze swoim dzieckiem.

– Czasem się to zdarza, ale głównie przychodzą do nas kobiety; to na nie zwykle spada obowiązek opieki nad niemowlęciem i one najlepiej potrafią sprostać ich potrzebom. A propos, Andie, jak w tym tygodniu było z karmieniem Vaierie? Już lepiej ssie?

– Chyba tak – odparła ciemnowłosa kobieta siedząca po drugiej stronie stołu. Wyglądała na krańcowo wyczerpaną; pod oczami miała sine kręgi. – Zadzwoiłam tam, gdzie mi kazałaś, i trochę mi pomogli. Mam nadzieję, że teraz będzie lepiej, ale dalej jestem strasznie niespokojna.

Joe próbował zachować niewzruszony wyraz twarzy, jakby uczestniczenie w podobnym spotkaniu nie było dla niego niczym nowym. Widywał nieraz, jak jego siostra, Rosie, karmi maleńką; przecież to najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Liz rozejrzała się po sali.

– W takim razie dobrze. A teraz czy są pytania?

Jakaś blondynka podniosła rękę i Liz uśmiechnęła się do niej.

– Słucham, Barbaro. O co chodzi?

Kobieta zerknęła na trzymane w ramionach dziecko.

– Mój mąż nie chce, żeby Tommy spał z nami w łóżku. Mówię mu, że tak jest lepiej, bo kiedy mały się obudzi w nocy, jest mu raźniej, a i mnie jest wygodniej go karmić, kiedy nie muszę do niego wstawać. Ale mąż się boi, że dzieciak się przyzwyczai i będzie tak z nami spał jeszcze kilka lat, a to by... nam

przeszkadzało...

Spojrzenia wszystkich kobiet, nie wyłączając Liz, spoczęły na jedynym mężczyźnie w grupie. Wyraźnie czekały na jego reakcję. Zrozumiał, że ma do czynienia z testem. Albo się zmiesza i zacznie coś bąkać”, albo uzna, że rozmowa dotyczy czegoś zupełnie normalnego. Barbara postawiła sprawę jasno, nie krępując się jego obecnością. On powinien postąpić tak samo. Liz nie dała mu wiele czasu do namysłu.

– Wiele małżeństw ma ten sam problem – oświadczyła. – Skorzystajmy z obecności mężczyzny i poprośmy go o zabranie głosu.

Joe wstał i odchrząknął.

– Nigdy nie byłem żonaty, ale moi rodzice są szczęśliwym małżeństwem od trzydziestu pięciu lat. Według mojej matki to zasługa ich obojga. Każdy związek wymaga wiele pracy i cierpliwości. Kryzys może pojawić się zawsze, ale jeśli więzy są silne, nic złego się nie stanie.

– Słusznie. – W głosie Liz wychwycił zaskoczenie. – Proszę nam jednak powiedzieć, jak byś postąpił w tym konkretnym przypadku. Pozwoliłbyś, żeby dziecko spało w waszym łóżku?

Poczuł na sobie wzrok kobiet. Liz jest tu na swoim terenie, a on jest jak ryba wyjęta z wody. Uczestniczył już jednak w niejednej dyskusji i dowiedzie tej przemądrzałej osóbcie, że Joe Marchetti

nie tak łatwo daje się zbić z tropu. Przypomniawszy sobie, co na ten temat mówiła Rosie.

– Na ogół należy uspić dziecko w jego własnym łóżeczku, a potem, jeśli się obudzi i zacznie płakać, należy postąpić zależnie od sytuacji.

Dobiegł go szmer komentarzy, dostrzegł uśmiechy na twarzach kobiet i zrozumiał, że mu się udało.

Teraz druga kobieta uniosła rękę.

– Lubię, kiedy dziecko z nami śpi – oznajmiła. – Mojemu mężowi też to nie przeszkadza, nie wiemy tylko, jak to ma być... to znaczy jak my... no, sam rozumiesz – zakończyła, uśmiechając się, lekko speszona.

Doskonale ją rozumiał. Jego matka nazywała to określeniem „tamte sprawy”.

– Kiedy dziecko zaśnie – odparł spokojnie – nadarza się doskonała okazja i należy ją wykorzystać, jeśli oboje macie na to ochotę.

– A jeśli w domu są jeszcze inne dzieci?

– Wtedy albo poprosicie dziadków o pomoc i sami gdzieś sobie wyjedziecie, jak to robili moi rodzice, albo – jeśli nie macie takiego szczęścia – nauczycie dzieci chodzić spać wcześniej, żeby mieć dla siebie trochę czasu.

Ledwo skończył zdanie, dziecko Barbary zanosło się płaczem.

Matka wstała z krzesła i zaczęła je kołysać.

– To nie takie proste – odezwała się któraś z kobiet. – Można sobie planować, a mały królewicz i tak zniweczy wszelkie plany.

Joe pytająco spojrział na Barbarę.

– Może ja mógłbym spróbować?

Młoda matka nie od razu uwierzyła, że mówi poważnie.

– Chyba żartujesz! Ale skoro chcesz, to proszę, z miłą chęcią. Joe podszedł i przejął od niej malca. Dawno nie trzymał w ramionach niemowlęcia – jego siostrzenica nie była już taka mała – i na początku zdumiała go jego kruchość. Przytulił dziecko i lekko pokołysał; Tommy ryknął ze zdwojoną siłą. Zupełnie jakby poczuł, że trzyma go ktoś obcy.

– Nie przeszkadzajcie sobie – zwrócił się do kobiet. – My sobie z Tommym zrobimy mały spacer po pokoju.

Barbara skinęła głową i Joe z niemowłkiem w ramionach ruszył w drogę.

– Szybko się zmęczysz – usłyszał jeszcze. – On dopiero zaczął, a potrafi tak krzyczeć godzinami.

– Dam sobie radę.

Nie bardzo w to wierzył, ale nie miał wyjścia.

Krzyk dziecka stał się nieco mniej donośny, ale nic nie wskazywało na to, by Tommy w najbliższym czasie zamierzał zakończyć występ. Joe się nie poddawał. Szybkim ruchem zmienił

pozycję maleńkiego ciała z poziomej na pionową. Główka Tommy'ego znalazła się teraz na ramieniu „niani”.

Wrzask ustał tak samo nagle, jak się rozpoczął. Zaskoczone kobiety zwróciły ku nim głowy. W oczach Liz malowało się zdumienie. Pierwsza nabrała głos Barbara.

– Nie wierzę własnym uszom.

Sani nie bardzo wierzę, pomyślał Joe i zrobił minę wytrawnego pogromcy wczesniaków. Nie zamierzał teraz tego mówić, ale podpatrzył tę sztuczkę u Rosie, kiedy uczyła się poskramiać swoją małą. Miał nadzieję, że to już koniec egzaminu, że pomyślnie przeszedł wszystkie próby i że ostatecznie przekonał Liz do swojej przydatności.

Naprawdę chciał pomagać dzieciom. Jako dyrektor personalny zakładów Marchettiego interesował się tym, co dotyczy pracowników, a sprawa sekretarki przekonała go ostatecznie, jak wielką rolę w ich życiu odgrywają dzieci.

– Jestem pod wrażeniem – oznajmiła Liz i zabrzmiało to ‘całkiem szczerze.

– Dzięki. – Joe podszedł do Barbary i oddał jej dziecko. – Cała przyjemność po mojej stronie.

W tej samej chwili rozległo się rozpaczliwe łkanie. Tym razem dochodziło z ramion Andie. Kobieta spojrzała na niego błagalnie.

– Spróbuj jeszcze raz, dobrze?

– Do usług.

Z małą Valerie poszło mu jeszcze szybciej. Przez resztę spotkania Joe z powodzeniem pełnił funkcję naczelnego niani zgromadzenia, pozwalając zebranych paniom na spokojną i rzeczową dyskusję. Rozpierała go radość; nie wiedział czemu, ale świadomość, że udało mu się zaimponować Liz, napawała go szczęściem.

Kiedy zebranie dobiegło końca i matki zaczęły zbierać rzeczy, Joe zauważył, że są teraz pogodniejsze i bardziej zrelaksowane. Sens podobnych spotkań stał się oczywisty; kobiety opuszczały salę uśmiechnięte, co dobrze wróżyło mężom i całej rodzinie. Z zamyślenia wyrwał go głos Andie:

– Nająłbyś się do nas do domu?

– Przykro mi, ale udzielam się tylko na terenie szpitala – odrzekł z uśmiechem.

Matka Valerie zrobiła zmartwioną minę.

– Szkoda.

Barbara też miała do niego pytanie.

– Przyjdiesz na następne zajęcia?

– Zobaczę, czy będę miał czas.

– Byłbyś wspaniałym ojcem – zauważyła z uśmiechem stojąca obok niej kobieta. – Trudno uwierzyć, że dotąd żadna cię nie złapała.

Joe rozejrzał się dokoła.

– Wszystkie jesteście zajęte.

Po wyjściu słuchaczek nieco stracił kontenans.

– To było bardzo ciekawe doświadczenie – powiedziała z namysłem Biz.

– Ale dobre czy złe?

Z niecierpliwością czekał na odpowiedź; doczekał się jej z pewnym opóźnieniem.

– Dobre, muszę przyznać, że dobre.

– Mówisz to bez przekonania, a mnie się wydawało, że zostałem doceniony przez twoje słuchaczki.

Liz uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– One są tak umęczone, że doceniłyby nawet pomoc potwora z Loch Ness, gdyby im na sekundę dał odpocząć.

– Niezupełnie rozumiem, skąd to porównanie. Liz roześmiała się.

– Tylko żartowałam. Wypadłeś rzeczywiście znakomicie, rzuciłeś wszystkie na kolana.

– Serdeczne dzięki, psze pani.

Liz nie zdążyła mu się odciąć, bo rozległ się sygnał telefonu komórkowego. Joe obrzucił Liz przeproszającym spojrzeniem i wyjął telefon z kieszeni.

– Słucham.

– Joe? Mówi Abby.

– Cześć, Abby. Co? Byliśmy umówieni? Strasznie przepraszam, ale zapomniałem. – Rzeczywiście przyrzekł, że pomoże jej wybrać ślubny prezent dla Nicka, swojego brata. – Zaraz tam będę, już lecę. – Rozłączył się i spojrzał na Liz. – Dzwoniła moja siostra...

Liz tylko machnęła ręką.

– Nie obrażaj mnie przypuszczeniem, że uwierzę w te twoje „siostry”. Po prostu spóźniłeś się na randkę.

– To wcale nie randka, to po prostu Abby.

– Przykre, że tak mało się z nią liczysz. A randka to wedle definicji spotkanie dwojga osób, na ogół przeciwnej płci, które uprzednio wspólnie ustaliły datę spotkania.

Joe skinął głową.

– Wszystko się zgadza, tylko że Abby właściwie jest moją siostrą.

W oczach Liz dostrzegł zniecierpliwienie.

– Nie wysilaj się, przede mną nie musisz. Znam twoje numery i jestem na nie uodporniona.

. – Mówię prawdę, umówiłem się z Abby na zakupy, bo... Tym razem przerwała mu gniewnie i stanowczo.

– Nic mnie to nie obchodzi. Twoje życie prywatne to twoja sprawa. Mnie interesuje tylko nasz program. Póki będziesz

wykonywał rzetelnie swoje obowiązki, możesz sobie robić, co chcesz.

Energicznym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

– Liz?

Przystanęła i spojrzała na niego przez ramię.

– Słucham.

Joe wyprężył się na baczność.

– Przyrzekam spełniać swoje obowiązki z całą odpowiedzialnością i dobrą wolą. – Zrobił spocznij. – Będę najlepszą niańką, jaką w życiu widziałas – dodał butnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Joe podniósł jednorazową pieluszkę i spojrzał na nią niepewnym wzrokiem. Potem z prośbą w oczach zerknął na Liz. Zachowała kamienny wyraz twarzy. Nadal nie otrząsnęła się z wrażenia, jakie wywarło na niej jego kręctwo. Po co mówić, że dzwoni siostra; przecież i tak wszystko jest jasne.

– Nawet na paczce z prażoną kukurydzą jest napisane, jak się z nią obchodzić, a tu jak na złość ani słowa – jęknął żałośnie Joe.

– Taki inteligentny facet jak ty na pewno coś wykombinuje – rzekła sucho. – To ostatni sprawdzian, skup się.

Znajdowali się w sali noworodków i niestety byli sami. Nikogo do podpatrzenia, znikąd ratunku. Liz stała obok niego przy stole do przewijania, na którym leżała treningowa lalka. Liz miała nadzieję, że Joe w zielonym fartuchu będzie wyglądał choć trochę mniej atrakcyjnie, ale się pomyliła.

– Słowa nie powiedziałaś o zmienianiu pieluch, kiedy próbowałaś mnie zniechęcić.

Liz spojrzała na niego z góry.

– Już ma pan dosyć, panie Marchetti?

– Chciałabyś, co?

– Nigdy tego nie mówiłam. Joe pokręcił głową.

– Nie słowami. Lata pracy z ludźmi nauczyły mnie czytać język ciała. Z tego też sporo się można dowiedzieć.

– Czyli mamy ze sobą coś wspólnego, bo ja też dużo pracuję z ludźmi i doświadczenie mi mówi, że długo tu nie wytrzymasz.

Joe łobuzersko przekrzywił głowę i mrugnął okiem.

– Założymy się? Wytrzymała jego spojrzenie.

– W każdej pracy jest coś, co ją określa, jakiś klucz. Naszym kluczem jest radość, dajemy spokój i szczęście i otrzymujemy je. A szczęście opiekuna jest pełniejsze, kiedy powierzone mu dziecko jest suche i czyste.

Joe potrząsnął trzymaną w rękę pieluchą.

– W takim razie pokaż mi, co mam robić. Teraz ona spojrzała na niego spod oka.

– Nie nabierzesz mnie, widziałam cię wczoraj w akcji. Znasz się na dzieciach jak rzadko kto. Ciekawe tylko, dlaczego to ukrywasz.

Podejrzewała go o ukryte intencje, bo wydawało jej się absolutnie niezrozumiałe, że taki mężczyzna jak on – uroczy, bogaty i uwodzicielski – chce nosić i tulić płaczące niemowlaki. Przejrzała go na wylot i rozpoznała niebezpieczeństwo; jeszcze chwila, a ten facet zacznie na niej wypróbowywać swoje męskie sztuczki. Nie trzeba być wojującą feministką, by zrozumieć, że warto się na nie uodpornić póki czas. Znała takich facetów; jej

ojciec był jednym z nich. Liz bardzo wcześnie postanowiła, że nie podzieli losu swojej matki.

– Mam wrażenie – zaczął po namyśle Joe – że stale mnie o coś podejrzewasz. Zupełnie jakbym się tu zgłosił z niezupełnie jasnego powodu.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Po prostu jestem sceptyczna.

– A możesz mi zdradzić dlaczego? Liz pokręciła głową.

– Poczekamy, zobaczymy. Podpisałeś umowę i jesteś zobowiązany pracować tu nie krócej niż trzy miesiące po trzy godziny w tygodniu. Wychodzi z tego, że tak czy inaczej będziemy się dość często spotykać.

– Tak czy inaczej – powtórzył w zadumie.

– Zresztą nieważne. Liczy się tylko nasz program. Joe obrzucił spojrzeniem pieluszkę i lalkę.

– Jeśli komukolwiek piśniesz słowo, że przychodzę tu bawić się lalkami, nie powstrzyma mnie żadna umowa ani żaden program.

– W porządku, a teraz do roboty.

– . I zaufasz mi? – spytał z nieoczekiwaną pokorą w głosie.

– Z komplementami na razie koniec. Wczoraj rzeczywiście spisałeś się znakomicie, ale miałeś do czynienia z dziećmi już nieco starszymi. Tu mamy noworodki, a to zupełnie co innego.

– Dam sobie radę. To tak jak z jazdą na rowerze, tego nigdy się

nie zapomina, a ja jestem przecież wujkiem.

– Co nie znaczy, że sprawdzisz się jako niania. Znam mężczyzn, którzy uciekają od dzieci jak diabeł od święconej wody.

Nie dodała, że jej ojciec tak właśnie robił.

– Moja siostra dała mi dobrą szkołę.

Objęła wzrokiem całą jego postać, od czubka ciemnej czupryny po sprane dzinsy widoczne spod fartucha. Z trudnością wyobraziła sobie Rosie Schafer dającą szkołę bratu. Jeśli naprawdę opiekował się siostrzenicą, robił to tylko z własnej nieprzymuszonej woli.

– Co u niej słyhać? – zapytała, szczerze zainteresowana losami swej dawnej pacjentki.

– Wszystko dobrze.

Jego krótka odpowiedź ucieszyła ją; ktoś taki jak Rosie zasługuje na dobre życie. Wyobraziła sobie miłe, kochające się małżeństwo i ich spokojny, szczęśliwy dom.

– Nie odziedziczyłeś po siostrze daru wymowy – zauważyła z ironią.

– Nie rozumiem.

– Strasznie jesteś lakoniczny. Tylko tyle? „Wszystko dobrze” i nic więcej?

Nie odpowiedział. Kilkoma zręcznymi ruchami założył lalce pieluszkę i dopiero wtedy podniósł głowę.

– W takim razie zaczynam: Stephanie, moja siostrzenica, jest cudowna i mądra, i rozpuszczona jak dziadowski bicz przez swoich wujków i dziadków. Moja siostra i jej mąż są niewyobrażalnie szczęśliwi. Idealna para na plakat obrazujący prawdziwą amerykańską rodzinę.

Słowo „rodzina” wymówił z jakimś dziwnym namaszczeniem, albo może tylko tak się jej wydawało. Tutaj widywała już różne przypadki. Dzieci przychodziły na świat; szpital odwiedzali ojcowie, rodzeństwo, dziadkowie. Obserwując ich, uczyła się dostrzegać to, co niewidoczne na pierwszy rzut oka. Joe pochodził z dużej, kochającej się rodziny, emanowała z niego pewność siebie kogoś, za czyimi plecami stoi solidarny klan, i kobiety to czuły.

Nagle przypomniała sobie jego zachowanie na spotkaniu z młodymi matkami. Zrobił wszystko, by ją do siebie przekonać. Podbił wszystkie słuchaczki. Liz dobrze знаła takich mężczyzn: przez wiele lat miała okazję obserwować jednego z nich w akcji. Jej ojciec też umiał czarować kobiety, a jednak małżeństwo jej rodziców było jedną wielką katastrofą.

Gdyby tylko mogła uwierzyć, że dołączył do programu z powodów, które jej podał... Ale przecież to tylko kobiety lubią tulić i kołysać w ramionach małe dzieci. Każdy mężczyzna, który udaje, że chce to robić, na pewno coś knuje. Liz nie może

dopuścić, by to coś zagroziło jej programowi.

– Chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć o Rosie? – zapytał niewinnie Joe.

– Nie, tym razem całkowicie zaspokoiliś moją ciekawość – odparta spokojnym głosem.

– Masz dla mnie jakieś polecenia?

– Nie, ustalimy tylko daty twoich dyżurów.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i w progu stanęła jedna z pielęgniarek, wysoka i rudowłosa Samantha Taylor.

– Cześć, Sam.

– Witam, szefowo. Co tutaj robisz? – Przeniosła zdumione spojrzenie z Liz na jej towarzysza.

~ Pozwól, że ci przedstawię, to jest Joe Marchetti. Uścisnęli sobie dłonie.

– Już chyba gdzieś pana widziałam...

– Moja siostra w zeszłym roku urodziła tutaj dziecko. Sam skinęła głową.

– Tak, już sobie przypominam, to ty wypytywałeś mnie o nasz program dotyczący noworodków, prawda?

Joe obdarzył ją swoim olśniewającym uśmiechem, mogącym być chlubą każdego ortodonta.

– To właśnie ja.

Sprawa zaczynała się wyjaśniać. Nic dziwnego, że Joe

zainteresował się Samanthą i chciał się do niej zbliżyć, ale po co zaraz zgłaszać się na wolontariusza i zawracać sobie głowę trudną i niewdzięczną pracą? Trochę to wszystko dziwne; zupełnie jakby nie było innego sposobu, by poderwać dziewczynę. A może ona myli się, i wszystko wygląda zupełnie inaczej? Liz uśmiechnęła się do koleżanki.

– Zrobiłaś na panu Marchettim tak wielkie wrażenie, że postanowił zostać nianią i właśnie go wprowadzam w tajniki zawodu.

– To dlatego przyszłaś tu dzisiaj, mimo że masz wolne. – Samantha zrobiła wielkie oczy. – Tyle, razy ci mówiłam, że bez ciebie świat się nie zawali. Ja wpadłam tylko coś zjeść.

Joe spojrzał na zegarek.

– To już tak późno?

Samantha roześmiała się srebrzyście.

– Mnie do tego zegarek niepotrzebny. Mój żołądek sam najlepiej wie, która godzina.

– Prawdę mówiąc, mój też.

Bardzo dobrze, układanka zaczyna się składać. Teraz Joe zabierze prześliczną rudowłosą na lunch; bardzo do siebie pasują, oboje tacy wysocy i przystojni. Tylko... Czy Samantha wie, jak ohydnie Joe postąpił z ich koleżanką? Nieważne. Tak czy owak, nareszcie pokazał swą prawdziwą twarz. Może to i lepiej... W

każdym bądź razie – bezpieczniej.

– Po drodze do stołówki Samantha pokaże ci szpital. – Głos Liz zabrzmiał rzeczowo i chłodno.

– Tak ci pilno się mnie pozbyć?

– To nie byłby zły pomysł – wtrąciła Samantha.

– Mam wrażenie – wycedził Joe – że nie bardzo wiesz, co mówisz.

Samantha wyraźnie się spieszyła.

– Chciałam tylko powiedzieć, że Liz za dużo pracuje. Nie potrafi nawet wykorzystać wolnego dnia.

– Pracoholicy już tacy są. – Joe potrząsnął głową. – A wolontariusze korzystają z tego i zabierają im czas. To moja wina.

– Po prostu w szpitalu zawsze jest coś do roboty – wyjaśniła Liz, trochę zmieszana. – A teraz do widzenia, zostawiam was.

Dopiero po kilku krokach w stronę drzwi zauważyła, że Joe idzie tuż za nią.

– Miło było porozmawiać. – usłyszała jeszcze, jak mówił do Samantha. – Życzę dobrego lunchu, a szpital obejrzę sobie innym razem. Teraz muszę dopilnować, żeby pracoholicy też coś zjedli.

Pół godziny po opuszczeniu szpitala Joe parkował swój sportowy samochód tuż przy plaży. Nad brzegiem oceanu stały drewniane stoliki, a całość stanowiła wymarzone miejsce na piknik. Joe spojrzał na siedzącą obok niego Liz. Była

zarumieniona od pędu powietrza, czarne loczki okalały jej śliczną buzię, ciemne okulary zasłaniały oczy, a usta się śmiały. To zaskoczyło go najbardziej. Dopiero teraz sobie uzmysłowił, że Liz dotąd prawie nigdy się nie uśmiechała. Szkoda, pomyślał. Staje się wtedy jeszcze ładniejsza.

Ucieszył się, że ją tutaj przywiózł. Każdy od czasu do czasu powinien zmienić powietrze, nawet taki nieprzejednany stary kawaler jak on.

– To jest właśnie to miejsce, o którym ci mówiłem. Liz skinęła głową.

– Pięknie tutaj. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam nad morzem.

Wziął torbę z zakupionymi po drodze kanapkami i wysiadł z samochodu. Okrążył go i otworzył drzwi od strony pasażerki.

– Usiądziemy tam, na tej ławce.

Zasiedli za stołem i Joe objął ją ramieniem. Uwielbiał ten widok. Ocean nigdy go nie zawiódł, a teraz jeszcze dal mu szansę bycia przez jakiś czas sam na sam z Liz.

Ona zaś drgnęła i lekko się odsunęła.

– Zimno ci?

– Nie, po prostu przeżywam tę niesamowitą jazdę. Masz wspaniały samochód.

– Nie tylko on jest wspaniały. – Joe komicznie wypiął pierś.

– Ale na razie tylko o nim mówimy. – Liz z przesadnym zachwytem zerknęła przez ramię na stojący za nimi pojazd.

Wyczuł w tym ironię.

– Owszem, jest wygodny – przyznał ostrożnie.

– Widzę, że nie ma tylnego siedzenia. Niezłe.

– Nie rozumiem.

Liz zawsze czymś go zaskakiwała. Podobały mu się te jej nieoczekiwane wypowiedzi i cięte uwagi; nigdy nie wiedział, czego się spodziewać i lubił ten stan podwyższonej gotowości.

– Taki samochód musi działać na panienki jak magnes – ciągnęła Liz rzeczowym tonem.

– Nie bardzo mi na tym zależy. Przyjrzała mu się uważnie.

– Każdemu playboyowi na tym zależy.

Tu jest pies pogrzebany. Uznał, że najlepszą obroną będzie obojętność.

– Nie wiem, nie znam się na tym.

Udana obojętność nie na wiele mu się przydała, – A kto jak nie ty? Gdybyś chciał, mógłbyś napisać podręcznik dla młodych adeptów sztuki uwodzenia.

O co jej chodzi? Mógł zrozumieć, że zarzuca mu to i owo ale nie zamierzał tolerować jakichś zupełnie absurdalnych aluzji. Pomyślał, że nadszedł czas, by sobie tę sprawę wyjaśnić.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– To do ciebie pasuje.

– W dalszym ciągu nie rozumiem.

– Jesteś przystojny, błyskotliwy, masz dobrą pracę.

– Dziękuję.

– To obserwacja, a nie komplement. – Pociągnęła łyk napoju z puszki. – Te trzy cechy całkowicie wystarczą. Kobiety muszą za tobą szaleć.

– Mówisz to takim tonem, że czuję się jak nędzny robak. Roześmiała się.

– Ja tego nie powiedziałam, sam wpadłeś na to porównanie. Swoją drogą, byłbyś głupi, gdybyś nie wykorzystał tych wszystkich możliwości.

Najbardziej irytujący był ten jej lekki, swobodny ton niezobowiązującej pogawędki. Zupełnie jakby mówiła o kimś trzecim. Odbijała piłeczkę ze zręcznością zawodowej tenisistki, zgrabnie i szybko.

Joe, pragnąc zyskać na czasie, napoczął kanapkę i zaczął ją starannie żuć.

– Mogłabyś określić mnie jakoś oględniej. Na przykład jako osobę chwiejną emocjonalnie.

Kontra nadeszła błyskawicznie.

– Tak właśnie nazwałbyś osobę, która postąpiła z Trish Hudson tak jak ty?

Trish Hudson... Przypomniał sobie pielęgniarkę, z którą spotkał się kilka razy, a potem bezbolenie rozstał.

– A co ja zrobiłem Trish?

Niewinitko! Trish moe nie jest najsympatyczniejsz z koleanek, ale Liz nie zamierzała brać udziału w tej maskaradzie.

– Zachowałeś się obrzydliwie.

– Ale co zrobiłem?

Zabrzmiało to tak szczerze, e Liz na chwilę zwapiła w sens swojej krucjaty.

– Moe ty nigdy z nikim nie flirtowałeś?

– Zdarzało się, ale to już przeszłość. Jestem osob towarzyszk, przyjazn ludziom, zajmuję się doradztwem personalnym, kieruję działem zasobów ludzkich w naszej firmie, więc...

– I o to chodzi, masz doskonałe pole do popisu.

Nie musiał udawać: kompletnie nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Nie rozumiem.

– Przyjmujesz do firmy kobiety, które s potem na twojej łasce
– wyjaniła.

– W adnym razie. Moja praca polega wasnie na tym, eby zapobiegać takim zjawiskom. W pracy nie ma miejsca na emocje, pracowników powinny aczyć stosunki jedynie zawodowe.

– Teraz rozumiem. Dlatego zgłosiłeś się jako wolontariusz. On nic nie rozumiał, ale podejrzewał najgorsze. Sam nie wiedział,

dlaczego zależy mu na jej zdaniu. Opanował zniecierpliwienie.

– Czy powiedzenie „ubiór nie czyni mnicha” coś ci mówi? Podpowiem, że chodzi o kierowanie się w sądach i ocenach pozorami.

– A czy tobie mówi coś takie zdanie:, Jeśli coś wygląda jak kaczką, chodzi jak kaczką, a na dodatek kwacze, to musi to być kaczką”?

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

– Próbuję sobie przypomnieć – odezwał się wreszcie z namysłem – kiedy to kwakałem i chodziłem jak kaczką, i co takiego zrobiłem, żebyś nabrała o mnie takiego mniemania.

– Kiedy cię spotkałam po raz pierwszy, próbowałam mnie oczarować.

– A ty o mały włos nie oberwałaś mi ucha. Okazałaś się całkowicie odporna na mój urok. Chyba będę musiał nad sobą popracować.

– Nie wysilaj się, na mnie to nie działa.

Ciekawe dlaczego, pomyślał. Splótł dłonie przed sobą i spojrzał na nią uważnie.

– Chciałbym cię o coś zapytać.

– Bardzo proszę.

– Kiedy się rozwiodłaś? Liz zrobiła wielkie oczy.

– Co takiego? Skąd ten pomysł?

– Robisz wrażenie osoby psychicznie okaleczonej. Nie gniewaj się, ale jest tak, jakbyś dźwigała ciężar ponad swoje siły.

Liz zapatrzyła się przed siebie. Spodziewał się wybuchu, lecz ten nie nastąpił.

– Mylisz się – odparła spokojnie. – Nie było żadnego rozwodu. Żeby się rozejść, trzeba najpierw mieć męża. A ja mogę ci oświadczyć z satysfakcją, że nigdy go nie miałam, nie mam i nie zamierzam mieć.

– W takim razie musiałaś się na kimś bardzo zawieść.

» – Dlaczego tak myślisz?

– Jesteś źle nastawiona do mężczyzn. Nie możesz się do nich przekonać. Odgrywasz się na mnie za coś, co ci zrobił inny facet.

Liz odwróciła wzrok; strzał okazał się celny. Joe widział teraz twarz z profilu.

– Nie jestem uprzedzona do mężczyzn – powiedziała i jej podbródek zadrżał. – Po prostu nie lubię, jak się nie stosują do pewnych reguł.

– I ja tak właśnie robię?

– Przy naszym pierwszym spotkaniu zagroziłeś, że mnie zamkniesz w schowku na szczotki i, o ile dobrze pamiętam, powiedziałeś, że ciebie żadne przepisy nie obowiązują.

– Z tym schowkiem tylko żartowałem.

– Wiem, ale złamałeś przepisy.

– Spróbuj mnie zrozumieć: moja siostra właśnie urodziła dziecko, pierwsza z całego rodzeństwa. Chciałem z nią pobyć.

– Myślisz, że tylko ty jeden na świecie zostałeś wujkiem i tak to przeżywasz? Wyobraź sobie, co by się działo, gdyby wszyscy zachowywali się w ten sposób.

– Pewnie oddział noworodków zaroiłby się od szczęśliwych wujków.

– Właśnie, i zapanowałyby chaos nie do opisanego. Nigdy na to nie pozwolę, bo bardzo mi zależy na bezpieczeństwie matek i dzieci. Jestem za nie odpowiedzialna.

Jej stosunek do pracy imponował mu. Nie miał wątpliwości, że nikomu, kto znajdzie się pod opieką Liz, nie stanie się nic złego. Ciekawiło go tylko, skąd u niej ta skorupa, to coś, co robi wrażenie pancerza odgradzającego ją od jakiegokolwiek cieplejszego uczucia.

– Czy fakt, że teraz jestem wolontariuszem, zmienia twój stosunek do mnie?

– Tak, pod warunkiem, że uwierzę w twoje dobre intencje. Mogłeś na przykład zgłosić się do nas w pogoni za jakąś spódniczką.

. – Skąd ten pomysł?

– Za każdym razem, kiedy cię spotykam, kręcą się wokół ciebie jakieś kobiety. Najpierw ta wysoka blondynka, potem Trish

Hudson, teraz Abby. Sama nie wiem, co myśleć.

– Nie wiesz, że wątpliwości przemawiają zazwyczaj na korzyść oskarżonego?

– Tak, ale mam wrażenie, że ty po prostu nadużywasz pewnych słów, a ponadto masz serce jak przydrożna gospoda... Wybacz, ale z moich obserwacji wynika, że trudno cię podejrzewać o coś innego niż egoizm.

Przesadziła. Długo nie reagował, znosząc wszystkie jej podejrzenia, ale dłużej nie pozwoli się obrażać.

Zwinął papier od kanapki w kulkę i wcelował prosto w kosz na śmieci.

– Dobra – powiedział z powagą w głosie. – Wygrałaś. Zaraz ci wyjawię moje prawdziwe intencje.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Zamierzasz powiedzieć mi prawdę?

– Tak.

Nie wierzyła własnym uszom. Joe postanowił się zdemaskować? Dlaczego? Wiedziała, że w szpitalu nie brakuje kobiet, które chętnie zawarłyby z nim znajomość, on też nie miałby nic przeciwko temu, ale mówić o tym wprost? Żaden mężczyzna nie jest zdolny do takiej szczerości.

A jeśli ona nie ma racji? Może Joe od początku mówił prawdę? Może naprawdę lubi pomagać ludziom? A może chce połączyć przyjemne z pożytecznym...

– Chodzi ci o Samanthę, prawda? – zapytała.

– O kogo?

– Jest wysoka i ma rude włosy. Nic dziwnego, że chciałbyś ją bliżej poznać. Nie rozumiem tylko, po co ci to całe zawracanie głowy z wolontariatem. Przecież mógłbyś po prostu do niej zadzwonić. Dlaczego nie skorzystałeś 2 okazji i nie zabrałeś jej na lunch? Przeoczyć coś takiego... To do ciebie zupełnie niepodobne.

Joe wyraźnie czekał, aż skończy.

– Już? To wszystko?

– Powiedzmy.

– To dobrze, bo bardzo się mylisz.

– Doprawdy?

– Po pierwsze, zgłosiłem się jako ochotnik, bo chcę się jakoś odwdzięczyć. Moja siostra otoczona była w szpitalu wspaniałą opieką, podobnie zresztą jak moja babcia, kiedy zgłosiła się na badania.

– Rozumiem.

– Po drugie, wpadłem na pewien pomysł. – Przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Chciałbym zorganizować opiekę nad dziećmi naszych pracowników.

Zdumiał ją, naprawdę.

– Powtórz to.

– Zajmuję się w pracy relacjami między ludźmi. To się oficjalnie nazywa doradztwem personalnym. Jednym z największych problemów pracowników każdego przedsiębiorstwa są dzieci, opieka nad nimi, ich bezpieczeństwo, w czasie gdy rodzice są w pracy, i tak dalej. Trzeba to jakoś zorganizować, trzeba im pomóc.

– Mogłeś zlecić to jakiejś specjalnej firmie. Joe pokręcił głową.

– Rodzina Marchettich sama prowadzi swoje sprawy. Sukces w interesach w dużej mierze zawdzięczamy właśnie temu, że większość spraw załatwiamy we własnym zakresie. A stosunki międzyludzkie to moja domena, to takie moje dziecko, że tak

powiem.

Liz wsunęła słoneczne okulary na czoło i spojrzała na niego. Czy możliwe, żeby aż tak się pomyliła? Czyżby przypisała mu cechy, których on nie posiada? Ale jest jeszcze przecież sprawa Trish Hudson...

– Co sobie obiecujesz po obserwacji naszego oddziału? – zapytała.

– Przede wszystkim odpowiem sobie na pytanie, czy warto coś takiego organizować dla niemowląt.

– Najwcześniejszy okres życia dziecka jest dla jego rozwoju niesłychanie ważny.

– Tak, wiem, że to niezwykle istotny okres i dla matki, i dla dziecka.

– Brawo, odrobiłeś lekcję na piątkę. – Liz łobuzersko mrugnęła do niego okiem. – A co potem zamierzasz zrobić ze zdobytą w naszym szpitalu wiedzą?

Pomysł wydawał jej się znakomity. Mimo że nie uwierzyła bezgranicznie w jego dobre chęci, Joe zyskał w jej oczach bardzo wiele.

– Będę musiał się zapoznać z innymi koncepcjami. Przedszkola mają zróżnicowane programy, w przypadku szkoły można sobie coś dobrać wedle zainteresowań. Sądzę, że w stadium początkowym też powinien być jakiś wybór.

Liz przekrzywiła głowę i jęknęła z zachwytem.

– Ależ ty nie tylko odrobiłeś jedną lekcję, ty na dodatek zrobiłeś kilka naprzód. To bardzo ważne zagadnienia, ale mato kto zwraca na nie uwagę. Rodzina często zostaje zepchnięta na drugi plan w panującej obecnie atmosferze zarabiania za wszelką cenę.

Joe z namysłem pokiwał głową.

– W naszym przedsiębiorstwie zatrudniamy wiele kobiet. Niektóre mają szczęście i mogą zostawić dzieci pod opieką rodziny, inne – i jest ich bardzo dużo – muszą porzucić pracę, bo nie znajdują nikogo odpowiedniego do opieki nad dziećmi. Wspominałem ci już o mojej sekretarce.

Liz skinęła głową.

– Podobnie jest u nas w szpitalu.

– Taki stan rzeczy wywołuje godne pożałowania skutki dla przedsiębiorstwa – ciągnął Joe. – Najbardziej wartościowi pracownicy odchodzą i trzeba zatrudniać byle kogo, a to oznacza katastrofę. Nie jestem filantropem, chodzi mi o interes firmy, dlatego postanowiłem coś z tym zrobić.

– Myślenie długofalowe, ale nie pozbawione podstaw – podsumowała Liz.

Joe w ferworze rozmowy przysunął się bliżej niej i ich uda się zetknęły. Liz poczuła falę ciepła ogarniającą całe jej ciało. To nie była właściwa reakcja na poważną dyskusję, jaką od pewnej

chwili toczyli. Zrobiła wszystko, by zachować kamienną twarz.

– Wiele na ten temat przeczytałem – mówił dalej Joe. – Rozpatrzyłem wszystkie za i przeciw.

– I czego się dowiedziałeś?

– Pozostawianie małego dziecka z kimś spoza rodziny nie zawsze ma ujemne skutki. Dziecko uczy się w ten sposób wchodzenia w relacje z osobami zupełnie obcymi, a to się przydaje na przyszłość. Dziecko wzbogaca swoje doznania i reakcje, staje się bardziej otwarte i śmiałe.

– Zdumiewasz mnie.

– Naprawdę?

Jego uśmiech sprawiał jej ogromną radość i jednocześnie wprawiał w dziwny popłoch.

– Trzeba przyznać, że jeśli postanowisz coś zrobić, wykazujesz godną uznania konsekwencję.

Joe zamrugał oczami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Skoro zdecydowałeś się wziąć udział w naszym programie, to widzę, że przygotowałeś się bardzo solidnie. Choć dalej nie rozumiem twoich powodów, nie mam się do czego przyczepić. Mało który facet tak się stara, żeby osiągnąć cel. Naprawdę jesteś mistrzem.

Natychmiast pożałowała tych słów, ale nie można się było

wycofać. Joe długo milczał.

– Rozumiem – mruknął w końcu.

Nie wiedziała, co ma na myśli, ale nie było to chyba nic wesołego. Jego oczy przygasły, usta znieruchomiały. Jeszcze przed chwilą patrzył na nią rozjaśnionym wzrokiem, biła z niego energia i radość życia. Teraz jakby wszystko poszarzało.

– Co ci się stało? – spytała.

– Stale myślisz, że się zgrywam.

Nie zaprzeczyła; zawsze unikała gierk i nienawidziła nieszczerości.

– Słuszna uwaga.

– Tylko dlatego, że jestem przystojny, łatwo nawiązuję kontakty i mam dobrą pracę. – W jego głosie brzmiała gorycz i zniechęcenie.

– Jesteś zupełnie inny niż nasi normalni wolontariusze – rzekła łagodnym tonem. – Czy ty na moim miejscu też nie miałbyś wątpliwości?

Joe wziął głęboki oddech.

– Zaczniemy od tego, że tak zwane światowe życie już mnie nie obchodzi. Nie zamierzam też umawiać się na randki. To strata czasu. Mam lepsze rzeczy do roboty niż spotykanie się z przypadkowymi osobami po to, żeby po raz któryś sobie udowodnić, że to do niczego nie prowadzi.

Powiedział to tak szczerze, że zaczęła się zastanawiać, czy aby w tym przypadku nie należy pozwolić, by wątpliwości świadczyły na korzyść oskarżonego. Nie potrafiła jednak wyzbyć się podejrzeń; gdyby to uczyniła, sprawy skomplikowałyby się jeszcze bardziej. Wstała.

– Właściwie to nieważne, co ja o tobie myślę. Zgłosiłeś akces do naszego programu i dopóki nie złamiesz regulaminu i nie zaniedbasz obowiązków, narażając któreś z dzieci, możesz sobie robić, co chcesz. Mnie to nie obchodzi.

– To się nazywa właściwe postawienie sprawy. – Joe wstał również. – A teraz odwiozę cię do szpitala.

Wcale nie miała na to ochoty, ale – jak sobie z odrobiną melancholii pomyślała – tak będzie najlepiej.

– Co ty tutaj robisz? – Flo Marchetti spojrzała na syna tak, jakby miał dwie głowy.

Podszedł i pocałował ją w policzek.

– To już mi nie wolno wpaść do mojej kochanej mamusi?

Wysoka, siwowłosa kobieta odwróciła się ku niemu i zaczęła zdejmować gumowe rękawice. Widząc ją stojącą pośród kwiatów, piękną mimo upływu lat, Joe pomyślał, że jego ojciec miał wyjątkowe szczęście. Myśli tej towarzyszyło coś na kształt nieuchwytnego akompaniamentu, ale nie miał ochoty się weń wsłuchiwać.

Flo podeszła do syna.

– Co u ciebie?

Brunetka, lat dwadzieścia kilka, drobna i szczupła, imię Elizabeth. .. Nie powiedział tego, to się nie nadaje do obwieszczania ot, tak sobie. Rozmowa nad oceanem zmęczyła go i zniechęciła do życia; nie miał ochoty wracać do pustego mieszkania, dlatego wpadł do rodziców.

– Gdzie tata?

– Gra w golfa z Nickiem i Steve'em. Dzwonili do ciebie, ale nie było cię w domu. Co robiłeś?

Bawiłem się lalkami... Tego też nie mógł powiedzieć.

– Byłem na plaży.

Matka spojrzała na niego ze współczuciem.

– Problemy z kobietami?

Tylko tego brakowało, żeby jej wszystko opowiedział.

– Na Boga, mamo, skąd ci to przyszło do głowy!

– Twoja reakcja wskazuje na to, że mam rację. Bardzo się cieszę.

– Z moich kłopotów? Wycelowała w niego wskazujący palec.

– Widzisz? Miałam rację.

– Tego nie powiedziałem. Ciekawi mnie tylko, dlaczego moje ewentualne niepowodzenia tak bardzo cię cieszą.

– Po prostu twoje życie mnie interesuje.

– I przypuszczasz, że mam kłopoty z kobietami?

– No, z jedną.

Flo usiadła na leżaku nad basenem i zachęciła syna, żeby uczynił to samo.

– Kocham cię, jesteś moim synem, i wydrapałabym oczy każdej kobiecie, która by cię skrzywdziła, ale...

Wiedział, że będzie tego żałował, lecz wzrokiem zachęcił ją, żeby mówiła dalej.

– Ale nie jesteś już taki młody, Joe. Coras trudniej ci będzie znaleźć jakąś wolną, wartościową dziewczynę w twoim wieku.

Natychmiast pomyślał o Liz. Ona też nie jest już taka młoda, a jednak nie wyszła dotąd za męża.

– Nikogo nie potrzebuję, mamo.

– To dobrze.

– Dobrze? Próbujesz na mnie jakiejś psychologicznej sztuczki?

– Ani mi to w głowie. Na ciebie nigdy to nie działało. Uważam po prostu, że miłość najczęściej zjawia się wtedy, kiedy się za nią nie uganiamy.

– Nie zawsze tak jest. Ja po prostu postanowiłem nie szukać.

– A to dlaczego?

– Z waszego powodu. Flo uniosła się gwałtownie.

– Co masz na myśli?

Zdziwił go nienaturalny ton jej głosu. Reakcja matki wydała

mu się dziwna.

– Ty i tata idealnie się dobraliście, a ja nie chcę ryzykować pomyłki.

Flo opadła na leżak.

– Każdy popełnia błędy, synku. To jeszcze nie koniec świata, wszystko można naprawić. Twoje rodzeństwo ma, jak wiesz, szczęście. Rosie trafiła znakomicie, Nick znalazł sobie Abby i niedługo ją poślubi. A ty? Kiedy ty się ożenisz?

Zrozumiał, że Flo nie popuści.

– Mamo – jęknął – daj mi spokój, błagam.

– Nie dam. – Siwowłosa dama pokręciła głową. – Ktoś musi ci to powiedzieć. Nie możesz dłużej zwlekać. Potem będziesz za stary na te rzeczy.

Tylko ona mogła to tak określić. Inni ludzie najczęściej mówili w tym przypadku: „No, wiesz”. Nie wiedział, co gorsze. Gdyby tylko o to chodziło... On szukał... sam nie bardzo wiedział czego. Kobiety idealnej? Przecież taka nie istnieje. Idealnego związku? Takiego też nie ma.

– Mamo, teraz to nie jest takie łatwe jak w waszych czasach.

– A twoim zdaniem wtedy było łatwo?

Znowu ten sam nieznany, intrygujący ton w jej głosie.

– Nie wiem. Wiem, że prawie wszystkie znane mi małżeństwa są już po rozwodzie. Znam też wiele samotnych matek. Znam

ojców zebrzących o spotkania z dziećmi, i walkę o alimenty. Mnie to nie bawi. Wolę do końca życia zostać starym kawalerem niż zwiększyć statystykę nieudanych małżeństw.

– Zawsze można próbować. Jeśli sienie próbuje, nie można wiedzieć, czy się zrobiło dobrze, czy źle.

– Wolę nie ryzykować. Matka lekko się uśmiechnęła.

– Wiesz, że nie znoszę tchórzy, synu.

Kiedy mówiła do niego „synu”, wiedział już, że trzeba zmienić temat.

– Kiedy poszli grać w golfa?

– Rano. To mi przypomina, że miałeś mi powiedzieć, co wtedy robiłeś.

Nie zamierzał mówić o programie dla noworodków ani jej, ani nikomu innemu. Nie chciał słyszeć domysłów i kpin. A gdyby jego bracia dowiedzieli się o tym, nabijaliby się z niego przez tydzień. Wolał to zachować dla siebie, podobnie jak spotkanie z pewną śliczną pielęgniarką.

– Mogłem nie usłyszeć telefonu – rzekł wymijająco. Ho nie dała się spławić.

– Istnieje taka maszynka zwana automatyczną sekretarką – przypomniała mu z przekąsem.

Joe skrzywił się.

– Wiem, mamó.

– Cieszy mnie to.

Flo przez chwilę milczała.

– To mi przypomina – dodała – że za dwa tygodnie są urodziny twojej siostrzenicy, Stephanie. Przyjdiesz, prawda?

Wolał nie pytać, jaki związek z rodzinną uroczystością ma automatyczna sekretarka. Skinął tylko głową. Rok temu urodziła się mała dziewczynka i świat dokoła pojaśniał. Rosie jest taka szczęśliwa. Steve też nie narzeka na los. Wizja rodzinnego święta przywiodła mu na myśl Liz Anderson.

Złość na nią już mu przeszła i doszedł do wniosku, że Liz udaje cyniczną, bo się boi. W jej życiu zaszło coś, co naznaczyło ją na zawsze. Postanowił dowiedzieć się, co to takiego.

– Oczywiście, że przyjdę na urodziny Stephanie. Możesz na mnie liczyć, mamó.

– Ze swoją dziewczyną?

– Mamó, daj spokój.

Dochodziło wpół do piątej rano. Liz słała się na nogach po długiej nocy. Cały czas prześladowało ją wspomnienie rozmowy nad oceanem. Próbowwała je odegnąć, ale nawet w obecnej sytuacji – musiała zastąpić któregoś z nieobecnych wolontariuszy – nie potrafiła skupić się wyłącznie na wykonywanej pracy. Zawsze, kiedy ktoś zawodził, brała jego dyżur sama. „Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś... „

Nad ranem przyszło na świat kilkoro dzieci. Ta dziewczynka też. Liz uśmiechnęła się do maleństwa śpiącego w łóżeczku na kółkach i popchnęła je w stronę oddziału noworodków.

– Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne – szepnęła. – Żyłas sobie dotąd w ciepłe, bezpieczna i szczęśliwa przez całe dziewięć miesięcy, a potem nagle barn! Prosto w nieznanym, obcy świat. Przynrzekam, że zrobię wszystko, żeby pobyt tutaj był nieco mniej okropny.

– Przemawia przez ciebie doświadczenie? Ten głos mógł należeć tylko do jednej osoby.

– Co ty tu robisz o tej porze?

– Mogę cię zapytać o to samo.

– Ja tutaj pracuję.

– A ja jestem tu wolontariuszem.

Na dodatek wolontariuszem niezwykle poważnie traktującym obowiązki. Joe zjawiał się o szóstej rano i zostawał na oddziale do dziewiątej, a w razie potrzeby nawet nieco dłużej. Doskonale o tym wiedziała.

– Ale dlaczego tak wcześnie? Co ci przyszło do głowy?

– O tej porze jest przecież największa dostawa towaru. Liz skrzywiła się.

– Strasznie prozaicznie to określiłeś.

– Już taki jestem, walę prosto z mostu.

A do tego najwyraźniej nie potrzebujesz dużo snu, skonstatowała w duchu Liz.

Joe trzymał w ramionach niemowlę, włosy miał rozczochrane, na policzkach ciemny zarost i wyglądał niesamowicie. Nie przypuszczała, że facet z dzieckiem na ręku może być tak nieprawdopodobnie pociągający.

– Tak czy inaczej to nie twój dyżur, znowu łamiesz przepisy – bąknęła, żeby coś powiedzieć.

– Strażnik mnie wpuścił.

– Nieważne, jak tu wszedłeś, ważne, dlaczego zrobiłeś to nie o swojej porze. Jest po czwartej. Nie miałeś nic lepszego do roboty?

– Nie, podobnie jak ty.

Miał rację. Normalni ludzie o tej porze śpią. Tylko nieudacznicy nie mogą sobie znaleźć miejsca, i wszystko wskazuje na to, że ona i Joe do nich należą.

– Jestem tu potrzebna – oznajmiła z godnością.

Nie zamierzała dalej dociekać, co go tu przygnało. Pewnie jakaś kobieta... Chociaż, prawdę mówiąc, czwarta rano to chyba nie jest najlepsza pora na flirty. Joe usiadł w bujanym fotelu i spojrzał na nią spod oka.

– Twój przełożeni mają szczęście. Taki pracownik to skarb. Doceniła pochwałę i rozchmurzyła się.

– To ja mam szczęście, że mogę pracować wśród tych skarbów.

– Zatrzymała wzrok na niemowlęciu, które kołysał. – Jakie to cudowne...

Joe spojrział na małą buzię.

– Cudowne – powtórzył w zamyśleniu. Twarz Liz rozjaśniło jakieś wewnętrzne światło.

– Zupełnie niezwykle... Jest jak nie zapisana kartka papieru, czysta i biała. Dopiero musi wszystkiego się nauczyć, chodzić, mówić...

Joe podniósł na nią oczy.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że rok temu moja siostrzenica wyglądała tak samo. Teraz już chodzi.

– Naprawdę? – Liz zamrugła powiekami. Skinął głową.

– Tak, biega jak szalona na swoich małych, krótkich nóżkach.

Liz uśmiechnęła się smętnie.

– Smutne w naszym zawodzie jest tylko to, że dzieci opuszczają szpital i już nigdy ich nie widzimy. Dorastają, rozwijają się, ale to się już dzieje gdzieś poza nami. Bardzo bym chciała je od czasu do czasu widywać.

Joe przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

– W takim razie przyjdź na jej urodziny! – wypalił.

– Czyje? Jakie?

– Mojej siostrzenicy, w tę sobotę. Do moich rodziców, bo oni mają wielki dom z basenem i tak dalej. Jest dużo miejsca,

przyjęcie będzie w ogrodzie, takie rodzinne spotkanie...

– Sama nie wiem...

– Będą moi bracia.

– Teraz rozumiem.

– Co takiego?

– Masz zamiar zrealizować swoją dawną groźbę. Chcesz mnie zwabić i zamknąć w schowku na szczotki.

Joe roześmiał się cichutko i ułożył wygodniej dziecko.

– Przysięgam, tam w ogóle nie ma zamykanych schowków na szczotki.

Liz przypomniała sobie jego braci. Wszyscy byli bardzo przystojni, ale Joe najbardziej. Tak tylko to zaobserwowała, zupełnie obiektywnie. Wzruszyła ją też troska, jaką okazywali Rosie. Duża, kochająca się rodzina; warto ich zobaczyć i przekonać się, że coś takiego jak ciepły, prawdziwy dom, naprawdę istnieje.

– W takim razie przyjdę z przyjemnością – oświadczyła. Chyba go zaskoczyła.

– Dobrze – powiedział tylko.

Kilka godzin później szła szpitalnym korytarzem, myśląc o tym, że zaraz przyjdzie następna zmiana, zda sprawozdanie z tego, co działo się na oddziale, i ona będzie mogła wrócić do domu. Obok księgi wpisów dostrzegła Joego; stał otoczony wianuszkami

kobiet.

Poczuła skurcz serca. Właśnie w chwili, kiedy zaczynała myśleć, że może pomyliła się w jego ocenie, Joe ukazywał się jej w roli bawidamka. Co gorsza, w skład jego haremu wchodziły osoby, które lubiła i szanowała.

Prawda wyszła na jaw: to dlatego zerwał się o świcie i przybiegł do szpitala. Pielęgniarek z rannej zmiany jeszcze nie widział i nie mógł się doczekać, kiedy je wreszcie pozna. Żaden playboy nie oparłby się takiej pokusie.

Podeszła bliżej i usłyszała, jak Samantha mówi: „W tę sobotę też tam pójdziemy, to bardzo fajne miejsce”, a Jeannie Drummond, fertyczna brunetka, dodaje: „Można sobie potańczyć, wybierz się z nami, Joe”. Tanya Quinn, szczupła blondynka, ujęła go pod ramię: „Nie daj się prosić, zobaczysz, będzie fantastycznie. Umówmy się na sobotę”.

Liz dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jej zależy na wizycie u jego rodziny. Nie wiedziała, o którą sobotę chodzi, ale na myśl, że jego zaproszenie może stać się nieaktualne, poczuła dojmujący żal. Przecież ktoś taki jak Joe nie przedłoży rodzinnej uroczystości nad spotkanie z kobietami. Nawet jeśli w grę wchodzi urodziny jego ukochanej siostrzenicy.

I tak jej początkowe podejrzenia zostaną ostatecznie potwierdzone. Nie czuła z tego powodu żadnej satysfakcji, tylko

smutek i żal.

– Widzę, że potraficie się zabawić – powiedział z uśmiechem Joe do otaczających go pań.

– Jasne – potwierdziła Jeannie. – Ty to byś tylko pracował i pracował. Ani chwili wytchnienia; tak nie można.

– Jest naukowo potwierdzone, że po pracy winien nastąpić odpoczynek. Wydajność człowieka wzrasta, kiedy sobie naładuje baterie – oświadczył sentencjonalnie Joe.

Panie przytaknęły chórem.

– Czy to znaczy, że jesteśmy umówieni? – ustalała Tanya.

– Niestety, nie mogę – odparł – ale życzę wam wesołej zabawy.
Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Co powiedziawszy, lekko odsunął Tanyę, a Liz niemal rozdziawiła usta. On je spławił! Gdyby nie słyszała tego na własne uszy, nigdy by nie uwierzyła!

Joe pomachał dziewczętom na pożegnanie i ruszył w jej stronę z uśmiechem, który sprawił, że poczuła miękkość w kolanach. Zatrzymał się i spojrzał na nią poważnie.

– Właśnie ciebie szukałem.

– Ttak... ?-wymamrotała błyskotliwie.

– Chciałem ci powiedzieć, że zadzwonię. Chciałbym cię zawieźć do moich rodziców na to przyjęcie – wyjaśnił i uśmiechnął się przepaszająco. – Teraz muszę już lecieć do pracy.

Na razie.

Odszedł, a Liz długo jeszcze stała jak skamieniała, słuchając bicia własnego serca. Joe zrezygnował z zaproszenia tamtych trzech dziewcząt! Woli spędzić ten wieczór w rodzinnym domu! Z rodzicami, rodzeństwem i... z nią!

Zamyśliła się, a potem pokręciła głową. Nie, nie chodzi o nią. Joe chce zobaczyć siostrzenicę... A ona, Liz, przy okazji pozna jego rodzinę, zobaczy, jak Joe zachowuje się w domu, i... nareszcie coś zrozumie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy podjechali pod posiadłość jego rodziców, w oczach Liz dostrzegł przerażenie. A już myślał, że nic ani nikt nie jest w stanie przestraszyć dzielnej siostry Anderson. Zwłaszcza jego rodzina. Wyczuł, że Liz potrzebuje wsparcia. On zaś spodziewał się, że siostra Anderson zawsze daje sobie radę sama.

– Dom nie jest taki wielki, tak tylko wygląda – pocieszył ją i poszli w stronę drzwi wejściowych.

– Rozumiem.

– Nie’ bój się, nie dam cię skrzywdzić – dodał żartobliwie.

– Dobrze – powiedziała i lekko speszona powiodła wzrokiem po eleganckich samochodach zaparkowanych na podjeździe.

Joe spojrzał na jej zarumienioną z przejęcia buzię i poczuł się dziwnie wzruszony. To, że była tuż obok, że podążała z nim na spotkanie z jego rodziną – nagle go wzruszyło. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem czuł coś podobnego.

– Nie bój się, nie będzie bolało – uspokajał ją, widząc, jak jest spięta.

– Zwykle to ja tak mówię i muszę przyznać, że zazwyczaj mijam się z prawdą. – Liz kurczowo ścisnęła trzymany w ręku prezent dla Stephanie. – Mówiłeś, że to takie zwykle rodzinne

spotkanie.

– Bo tak jest. Zapomniałaś, że mam braci. I jak widzę, stawili się wszyscy. – On też powiódł wzrokiem po zaparkowanych półkolem samochodach. – Prócz Nicka. Liz głęboko westchnęła.

– To strasznie duża rodzina dla kogoś, kto się chował jako jedynak czy raczej jedynaczka, jak ja.

– Zupełnie sobie tego nie wyobrażam. Musisz mi kiedyś o sobie opowiedzieć, bardzo jestem ciekaw.

Liz skrzywiła się.

– To nudne jak flaki z olejem.

– Nie wydaje mi się.

Nic, co jej dotyczy, nie może być nudne ani banalne. Zwłaszcza jej wygląd. Liz miała na sobie białe szorty, czerwoną koszulkę i białe tenisówki. Uprzedził ją, że urodziny siostrzenicy odbędą się w ogrodzie; jest maj i na pewno będzie ciepło. Jeszcze raz spojrzął na jej zgrabną postać i pomyślał, że nie przypuszczał, że będzie aż tak gorąco, co zresztą nie miało nic wspólnego z porą roku.

Otworzył drzwi wejściowe i nastawił ucha.

– Strasznie tu cicho. Wszyscy muszą być na patio. Weszli do środka i Joe poprowadził swego gościa przez korytarz do salonu.

– Jest większy niż całe nasze mieszkanie – powiedziała z niekłamanym podziwem Liz. – Czy powinnam już zacząć rzucać okruszyny chleba, żeby mi było łatwiej znaleźć powrotną drogę?

– Zawsze możesz zawołać: „Pomocy!”, i jakiś rycerz przybędzie ci na ratunek.

Rozejrzała się.

– Bardzo tutaj pięknie. Te meble, obicia kanap i podłoga... To cudowny dom.

– Na zewnątrz jest jeszcze ładniej.

Wziął ją za rękę, by się nie zgubiła, i poszli dalej. Liz nie cofnęła dłoni, przecież nie było w tym nic złego. Minęli jadalnię i kuchnię i wyszli z drugiej strony domu na ceglane patio.

Joe zamachał ręką na powitanie.

– Cześć wszystkim.

Jego matka podniosła się zza stołu o szklanym blacie i podeszła do nich. Pocałowała syna w policzek i miło uśmiechnęła się do Liz.

– Pozwól, mamó, że ci przedstawię Liz Anderson. Pracuje w tym szpitalu, gdzie Rosie urodziła Stephanie.

Flo skinęła głową.

– Od razu się domyśliłam. Wiele się o tobie, kochanie, mówiło w naszym domu, i o tym, jak się rozprawiłaś z Joem.

– Tak jakoś wyszło – swobodnie odparła Liz.

– Nie przestrasz jej, mamó. Liz zgodziła się do nas przyjść, kiedy jej obiecałem pokazać Stephanie. Mówiła, że nigdy nie widuje dzieci, przy których narodzinach asystuje. Odchodzą i traci

z nimi kontakt.

Jego matka podała gościowi rękę.

– Florence Marchetti – powiedziała serdecznie.

– Bardzo mi miło, pani Marchetti.

– Mów mi Flo. To jest Tom, mój mąż, a to nasza solenizantka, Stephanie – dokończyła prezentacji pani domu.

Liz z rozrzewnieniem spojrzała na dziewczynkę.

– Kiedy ją poprzednio widziałam, była taka maleńka i krucha, a teraz jest taka śliczna z tymi czarnymi loczkami.

– Będzie jeszcze ładniejsza, jak ją trochę umyję. – W progu stanęła Rosie z ręcznikiem w ręku. – Witaj, Liz, bardzo się cieszę, że przyszłaś.

– Dzień dobry, Rosie.

Joe spojrzał na siostrę.

– Jak rozumiem, wy się już znacie. Rosie roześmiała się.

– Nigdy nie zapomnę siostry Anderson. Nie wiem, jak jej się udało wyrzucić cię z mojego pokoju, ale zrobiła to koncertowo. Moje gratulacje, Liz.

Joe skrzywił się komicznie.

– Ty też? Cała moja rodzina przeciwko mnie? Rosie nie zwróciła na niego uwagi.

– Tak się cieszę, że cię znowu widzę – powtórzyła.

– Coś mi się wydaje – parsknęła śmiechem Liz – że niedługo

wrócisz do nas na oddział.

Rosie skrzyżowała dłonie na brzuchu.

– Nie mogę się doczekać, ale mam jeszcze przed sobą cztery tygodnie. Doktor mówi, że wytrwam do końca.

– Mam nadzieję, że będę na dyżurze, jak się zjawisz.

– Ja też – westchnęła Rosie.

Joe podzielał jej zdanie. Bardzo chciał, by jego siostra była pod opieką kogoś tak niezawodnego jak Liz.

– A oto i reszta rodziny – powiedział, ruchem ręki wskazując dwóch młodych mężczyzn grających w tenisa stołowego. – Chyba ich pamiętasz, to moi bracia, Alex i Luke.

– Który jest który?

– Alex jest wyższy ~ wyjaśniła Rosie. – Ale teraz muszę cię przeprosić i zająć się małą. Ona jeszcze nie zrozumiała, że kwiatki nie służą do zabawy i że babcia bardzo nie lubi, jeśli się im odrywa główki.

Bezradnym spojrzeniem obrzuciła ręcznik.

– Nie ma sensu jej wycierać, lepiej byłoby ją po prostu wykapać.

– A da się wytrzeć? Tak świetnie się bawi. Rosie skinęła głową.

– Już wujek Joe ją przekona. Nikt tak jak on nie umie obchodzić się z dziećmi, oprócz mojego męża, oczywiście.

Joe mrugnął okiem.

– Widzisz, jaki jestem zdolny.

– Nigdy w to nie wątpiłam – odparowała Liz. – Przecież widziałam cię w akcji.

Nikt prócz niego nie zwrócił uwagi na jej słowa. Była jeszcze trochę spięta, ale już zaczynała czuć się swobodnie w otoczeniu rodu Marchettich. A Joe przysiągł sobie, że jeszcze tego samego dnia ostatecznie ją do siebie przekona.

Tymczasem jednak całą uwagę skupił na siostrzenicy. Przez kilka następnych minut dosłownie stawał na głowie, by ją rozbawić i odwrócić jej uwagę od matki starającej się wytrzeć jej buzię i rączki. Gdy wrócił na patio, Liz gawędziła z jego braćmi. Alex właśnie powiedział coś, co bardzo ją rozśmieszyło.

Gdyby w jego naturze leżała zazdrość, musiałby chyba braci siłą odegnąć z powrotem do gry. Nie był o Liz zazdrosny, bo żeby odczuwać zazdrość, trzeba się emocjonalnie zaangażować. A on nie kochał siostry Anderson, nawet nie próbował się zakochać. Zbyt wiele widział zdeptanych marzeń, bolesnych rozstań, dramatycznych rozwodów, ludzi, którzy nigdy nie powinni byli powiedzieć „tak”. On nie zamierzał tego robić, bo nie wierzył, że dwie samotności razem oznaczają coś więcej niż dwie samotności oddzielnie.

Podszedł do roześmianej trójki.

– Jak moi bracia się sprawują?

- Bez zarzutu.
- To im się zdarza po raz pierwszy.

W jego głosie musiało zabrzmieć coś dziwnego, bo Luke spojrzął na niego pytająco. Joe sam nie rozumiał swojego zachowania. Rzucił tę zgryźliwą uwagę zupełnie mimo woli. Tak jakby podejrzewał, że bracia chcą mu zabrać Liz. Ale przecież nie można człowiekowi odebrać czegoś, czego nie posiada, a on do Liz nie ma żadnego prawa. Co więcej, nigdy nie myślał o niej w ten sposób. Zresztą żaden z braci nie flirtowałby z jego dziewczyną.

Miał ochotę zaszyć się w kąt i wszystko sobie przemyśleć. Zdawał sobie sprawę, że jego tak bardzo nieadekwatną reakcję spowodowało coś zupełnie innego niż zwykła zazdrość. Liz prawie nie знаła jego braci; w szpitalu widziała ich zaledwie przez dziesięć minut przy łóżku Rosie. Mimo to rozmawia z nimi tak swobodnie i wesoło, jakby znali się od lat. Widać, że im ufa. Dlaczego tylko przy nim jest taka spięta, dlaczego tylko do niego jednego nie ma za grosz zaufania?

Już miał ją o to zapytać wprost, gdy na patio zjawił się Nick ze swą narzeczoną. Obeszli wszystkich obecnych, witając się z nimi, i po chwili dotarli do Liz i Joego. Dokonał prezentacji.

- Liz Anderson, mój brat Nick i jego narzeczoną, Abby. Imię

narzeczonej Nicka podkreślił specjalnie i spojrzał na Liz. Nie zawiodła go. Zarumieniła się i gwałtownie zamrugła powiekami. Poczula na sobie jego wzrok i odwróciła oczy.

– Miło mi was poznać – powiedziała.

– Nam również. – Nick objął Abby, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

Temu to się udało, pomyślał Joe i poczuł, że zalewa go fala zazdrości. Nick i Abby wyglądali razem znakomicie. On – ciemnowłosy i wysoki, ona – drobniutka blondynka. Pasowali do siebie nie tylko fizycznie, po prostu dobrali się jak w korcu maku. Nick długo szukał swojej drugiej połowy, aż wreszcie znalazł Abby i zakochał się bez pamięci.

– Już bardzo niedługo Abby zostanie moją siostrą – odezwał się Joe znaczącym tonem.

– Tak? – W głosie Liz zabrzmiało zmieszanie. Błękitne oczy Abby załśniły.

– Nie mogę się doczekać. Nie tylko poślubię najlepszego mężczyznę na świecie, ale wejdem również do cudownej rodziny.

– Przeniosła zakochany wzrok z narzeczonego na jego brata.

– Strasznie ci dziękuję, że mi pomogłeś przy tym prezencie dla Nicka.

Joe skłonił się lekko.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Liz uparcie patrzyła

gdzieś przed siebie.

– Ale to śliczne! – Rosie rozpakowała prezent i spojrzała na Liz z wdzięcznością. – Stephanie na pewno bardzo się ucieszy.

Dziewczynka na razie interesowała się bardziej kolorowym papierem niż samym podarunkiem. Rosie uniosła w górę drewnianą układankę i pokazała ją obecnym.

– Można z tego ułożyć imię małej.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Po posiłku złożonym z pieczonego na grillu mięsa, kartofli i sałatki cała rodzina zasiadła na patio, by obejrzeć prezenty. Rodzice solenizantki pomagali jej otwierać pudła i rozwijać paczki, żeby przyspieszyć akcję, a wokół nich rosła góra plastikowych zabawek.

Liz westchnęła i pomyślała, że byłoby dobrze, gdyby dziewczynka na zawsze zapamiętała ten moment i to, jak bardzo była przez wszystkich kochana. Wierzyła, że dziecko mające doświadczenie wchodzi w życie łatwo i beztrąsko. Z żalem przypominała sobie, że jej dzieciństwo było smutne i niespokojne.

Usiadła na bujanej ławce, a Joe usadowił się obok niej. Od chwili, kiedy przerwał jej pogawędkę ze swymi braćmi, nie opuszczał jej ani na krok. Wiedziała, że musi go przeprosić za to, co powiedziała, gdy w szpitalu zadzwoniła do niego Abby. Czuła się z tym okropnie.

– Czas na deser – oświadczyła Flo.

Razem z mężem poszła do domu, a po chwili ukazała się, niosąc tort dla dorosłych i ciastko z jedną świeczką dla wnuczki. Steve posadził małą na wysokim krzeselku za stołem. Natychmiast wsadziła palec w krem i oblizała go. Pomrukując z zadowolenia powtórzyła czynność kilka razy, a potem wytarła rączkę we włosy. Liz roześmiała się, a Rosie jęknęła.

Stephanie starannie rozgniotła ciastko i zaczęła je rozsmarowywać po stole.

– Może byśmy ją już wykapali? – Rosie wymownie spojrzała na męża.

Steve wziął córeczkę pod pachę i wszyscy troje zniknęli w drzwiach domu. Flo odstawiła pusty talerzyk na stół i spojrzała na Liz.

– Chciałabyś obejrzeć nasze rodzinne filmy?

Liz ochoczo przytaknęła. Ciekawe, jaki w dzieciństwie był Joe. Czy już wtedy wszystkich czarował i robił z ludźmi, co chciał? A może nauczył się tego dopiero potem, podczas doświadczeń z kobietami? Zrobiło jej się wstyd. Znowu podejrzewa go o najgorsze, a przecież jeszcze nie zdążyła go przeprosić za poprzednią gafę.

Rodzina ruszyła w stronę domu i Liz poszła za nimi. W pewnej chwili poczuła rękę Joe na swoim ramieniu.

– Chyba nie chcesz rzeczywiście oglądać tych filmów? To straszne nudy.

– Nie sądzę. Mam wielką ochotę zobaczyć film pod tytułem „Mały Joe podbija świat”.

Zagroził jej drogę.

– Po moim trupie, niezłomna poskromicielko łamiących przepisy.

W zapadającym zmroku zobaczyła jego uśmiech i ona też roześmiała się, mimo że wolałaby bezpiecznie spędzić resztę wieczoru w towarzystwie jego rodziny, niż zostawać z nim sam na sam.

Zapadał letni zmierzch, na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy, a ona miała do spełnienia pewną misję. Musi go przeprosić za swoją pomyłkę w związku z tamtym telefonem. Im szybciej to zrobi, tym lepiej. Bez protestu pozwoliła mu się zaprowadzić nad basen.

Noc była ciepła, leciutko wiał wiatr. Światła Malibu docierały na patio, nadając cegle różowawy odcień. Joe przysiadł nad brzegiem basenu i zamoczył nogę w wodzie. Wskazał jej miejsce obok siebie i Liz zawahała się tylko na chwilę. Zdjęła tenisówki i włożyła stopy do aksamitnej wody.

Nie mogła powstrzymać westchnienia rozkoszy. Czuła się przy nim tak dobrze, jakby odzyskane zaufanie zmieniło nagle

wszystko. Próbowwała opierać się potężnej sile, która ją popychała ku temu mężczyźnie, ale w głębi duszy już przeżywała porażkę. Przede wszystkim jednak musiała jeszcze coś zrobić.

– Joe, chciałam cię przeprosić.

– Nie ma sprawy.

– Jednak przepraszam. Kiedy Abby zadzwoniła, od razu pomyślałam, że to jakaś kobieta...

– Tak bardzo się nie pomyliłaś.

– Nie ułatwisz mi zadania, prawda? – Liz wzięła głęboki oddech. – Trudno, skoro się koniecznie chcesz na mnie odegrać, bardzo proszę. Muszę przyznać, że nie traktowałam cię dobrze. Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi.

– A wiem?

Zerknęła na niego z westchnieniem.

– Wcale się nie dziwię, że tak się zachowujesz. Zasłużyłam na to, sama w twojej sytuacji tak bym zrobiła. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że ilekroć cię widziałam, była z tobą jakaś kobieta.

– Rozumiem. Dlatego powiedziałaś, że mam serce jak przydrożna gospoda.

Skrzywił się.

– Nie muszę, ale jeszcze raz ci wyjaśnię. Tamta blondynka to moja sekretarka. Mówiłem ci, że przyniosła mojej siostrze

prezent, bo akurat sama szła na badania. Była w ciąży.

– Rozumiem.

Liz skinęła głową. Czuła skruchę, ale miała też coś na swoje usprawiedliwienie.

– Gdyby nie ta historia z Trish Hudson, nie przyszłoby mi nic takiego do głowy. Chyba to rozumiesz.

Joe zeszywniał.

– Jaka historia? Wspomniałaś już o tym na plaży, ale w dalszym ciągu nie wiem, o co ci chodzi.

Próbowała znaleźć na jego twarzy cień zażenowania, ale jej się nie udało.

– Nie wiesz?

– Nie mam pojęcia.

– Zastała cię z inną kobietą.

Joe podniósł się gwałtownym ruchem i stał teraz nad nią, wysoki i zagniewany, z rękami w kieszeniach.

– Co takiego?!

W jego głosie brzmiał niesmak i pogarda. Jeśli udawał, był naprawdę znakomitym aktorem. Liz podniosła się również.

– Trish powiedziała, że zerwała z tobą, kiedy cię zastała w twoim mieszkaniu z inną kobietą. Dodała, że nic jej nie obiecywałeś, ale sądziła, że to normalne, że nie spotykasz się z

nikim innym.

Joe lekko się skrzywił.

– Ciekawa interpretacja – powiedział przez zęby. – A do tego czysty wymysł. Dlaczego jednak miałabyś uwierzyć facetowi, który nie wie, co to lojalność i uczciwość?

– Spróbuj mnie przekonać.

Wydawał się zaskoczony; odezwał się dopiero po chwili.

– Spotkaliśmy się kilka razy. Bardzo się zaangażowała, a ponieważ ja nie odbierałem tego w taki sposób, powiedziałem jej to wprost, żeby jej nie zwodzić. Zaproponowałem przyjaźń, ale ją odrzuciła. Koniec, kropka.

Tym razem wiedziała, że Joe mówi prawdę.

– Znowu wyszłam na idiotkę. Spojrzał jej w oczy.

– Wierzysz mi? – zapytał wyraźnie zaskoczony.

– Tak. Trish często kłamie. Opowiada niestworzone historie. Mówi byle co, żeby sobie przedłużyć weekend albo kiedy się spóźni do pracy. – Pokręciła z zadumą głową i dodała: – Wiedziałam o niej to wszystko, ale i tak jej uwierzyłam. Wolałam zarzucić kłamstwo tobie. Jest mi potwornie przykro. Przepraszam cię, Joe. Czy mi wybaczysz?

Nagle wydał jej się bardzo wysoki i odległy, a przecież stał tak blisko, że czuła zapach jego wody po goleniu i ciepło jego ciała. I chyba chciał ją pocałować, ale zrezygnował.

– Wybaczam ci – rzekł półgłosem. Poczwała ulgę i żal, że nie zrobił nic więcej.

– Tak łatwo?

– Nie jestem złym człowiekiem.

– Teraz już to wiem. Ktoś inny nie przebaczyłby tak łatwo. A już ja na pewno nie.

Spojrzał na nią jakoś inaczej, ciepło, zachęcająco.

– Dlaczego?

Przysiadła z westchnieniem na leżaku stojącym nad basenem. Joe zrobił to samo i znaleźli się bardzo blisko siebie. Ich gołe stopy prawie się stykały. Dreszcz przebiegł ciało Liz.

– Jak już mówiłam, jestem jedynaczką – zaczęła schrypniętym głosem. Postanowiła wyjaśnić mu choć część swojej tajemnicy. Skrzywdziła go swoimi podejrzeniami i jest mu coś winna. – A ty przypominasz mi mojego ojca, Joe.

Roześmiał się niewesoło.

– Nie powiem, żebym był zachwycony porównaniem. Żaden facet na moim miejscu nie byłby zadowolony, że dziewczyna, z którą siedzi sobie w nocy pod gwiazdami, widzi w nim swojego ojca.

Serce Liz załomotało. Czy to znaczy, że Joe zamierza jednak ją pocałować? Opanowała się i spojrzała mu w oczy.

– Chciałam przez to powiedzieć, że przypisywałam ci cechy,

których nie posiadasz, bo coś w tobie przypominało mi mojego ojca.

– A co on takiego zrobił?

– Był niezwykle przystojny i kobiety za nim szalały. Odkąd pamiętam, moja matka całe noce oczekiwała na jego powrót, a on regularnie ją zdradzał i oszukiwał. Nieraz wcale nie pokazywał się w domu. A kiedy wreszcie wracał, jego koszule pachniały perfumami i nosiły ślady szminki.

Joe ujął jej drobne dłonie, a ona poczuła się nagle bezpieczna i spokojna. Nigdy dotąd nie zaznała podobnego błogostanu. Ogarnęło ją cudowne uczucie, zupełnie jakby po długiej wędrówce dotarta wreszcie do domu. Zaraz jednak obudził się niepokój. To nie może być prawda, to musi być podstęp...

Próbowała wyswobodzić dłonie z jego rąk, ale jej nie puścił.

– Bardzo ci współczuję, Liz – szepnął. – Nie wiedziałem, teraz wszystko rozumiem. To musiało być straszne.

– To nie wszystko. Pochylił się ku niej.

– Nie musisz mi mówić, jeśli ci to sprawia ból. Liz potrząsnęła głową.

– Będzie mi lżej, kiedy ci to powiem i nie będzie między nami niedomówień. Zachowałam się wobec ciebie okropnie i jest mi wstyd. Dlatego powinnam ci wytłumaczyć, dlaczego tak postąpiłam.

Popatrzył na nią ze zrozumieniem.

– W takim razie słucham. Liz chrząknęła.

– Moi rodzice nie rozwiedli się ze względu na mnie. Niby byli małżeństwem, ale w rzeczywistości stanowili parę obcych ludzi. Czy uwierzysz, że ja dzisiaj zazdrościłam Stephanie jej cudownych urodzin? Dobrze, prawda?

– Czego jej zazdrościłaś?

– Tego, że cała rodzina tak bardzo ją kocha, że wszyscy przyjechali, żeby uczcić jej święto, mimo pracy, zajęć, i tak dalej. A ona i tak nic z tego nie zapamięta, najwyżej obejrzy sobie zdjęcia. – Liz smutno zapatrzyła się w nieruchomą tafłę wody. – My zawsze byliśmy same z mamą...

– Twój ojciec nie przychodził do domu na twoje urodziny? Pokręciła głową i siłą powstrzymała łzy.

– Ani na urodziny, ani na maturę, ani na żadną inną uroczystość. Nie miał czasu, miał co innego do roboty...

– Gdzie on teraz jest?

W jego głosie zabrzmiał gniew i Liz uzmysłowiła sobie, że Joe gniewa się na jej ojca za to, że ją skrzywdził. Ten gniew zbliżył ją do niego bardziej niż najczulsze nawet słowa.

– Umarł w tym samym roku, kiedy rozpoczęłam szkołę pielęgniarstwa. Mama miała nadzieję, że dostaniemy jakieś odszkodowanie, ale okazało się, że wycofał z konta wszystkie

pieniądze. Pewnie chciał zaimponować kolejnej kochance...
Zmieniłyśmy mieszkanie na mniejsze, a ja musiałam pracować,
żeby opłacić naukę.

– A co się teraz dzieje z twoją mamą?

– Umarła w rok po ojcu. Myślę, że nie potrafiła go przeżyć i
pękło jej serce. Bardzo go kochała, a on nie wiedział, co to znaczy
miłość. Twój rodzice są zupełnie inni.

Joe zapatrzył się przed siebie.

– Tak, są idealną parą, ale właśnie dlatego ja już nikogo nie
szukam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Nie rozumiem...

Teraz, kiedy rozwiał już jej wątpliwości, chciała uwierzyć mu do końca. Musiała ostatecznie się przekonać, że nie odgrywa przed nią komedii, by uspić jej podejrzania i wzbudzić fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Jednak jego ostatnie wyznanie było bardzo trudno wyjaśnić, bo Joe sam nie do końca poznał przyczyny takiego stanu rzeczy. Wychował się w rodzinie dającej pełne oparcie. Jako dorosły mężczyzna miał wszystko: powodzenie u kobiet, szacunek otoczenia, pieniądze i pewność siebie. Połowa tych cech wystarczyłaby już, by kobiety pchały się do niego drzwiami i oknami. Dlaczego postanowił nie zwracać na nie uwagi? I co wspólnego z taką decyzją mają jego rodzice?

Przejechał rękami włosy. Stał wyprostowany, a jego postać przesłoniła światła Malibu i zrobiło się ciemno.

– Mam naturę wyczynowca – zaczął cichym głosem. – Porażki mnie nie interesują.

– Ciekawe... Myślałam, że mówimy o uczuciach. Nie zauważyłam, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o sporcie.

– Miłość to taka dziedzina, w której najlepszy nawet zawodnik narażony jest na przegraną.

– Tak sądzisz?

Schylił się i spojrzeniem poszukał jej oczu.

– Widziałem facetów, którzy zakochiwali się w bardzo młodym wieku i z szalonej miłości poślubiali swoje wybranki. Potem z jakiegoś powodu porzucali je i zaczynał się dramat. Na całe życie unieszczęśliwione dzieci, alimenty, procesy, łzy. Jeden z moich przyjaciół przechodzi teraz właśnie przez coś takiego. Jego była żona uniemożliwia mu widywanie się z dziećmi, następują kolejne szykany, dochodzi do gorszących scen. Żadnej dobrej woli, żadnej elastyczności. Koszmar.

– To rzeczywiście straszne. W tej grze nie ma zwycięzców, a najwięcej tracą dzieci. Sama najlepiej wiem, jak to jest.

Joe oparł dłonie na biodrach.

– W takich przypadkach prawo funkcjonuje zupełnie jak narzędzie zemsty.

W jego głosie zabrzmiała tak wielka gorycz i smutek, że Liz postanowiła skierować rozmowę na wyjątki od tej ponurej reguły.

– Są też i inne przypadki. Spójrz na Rosie i Steve’a. Joe zmarszczył brwi.

– To zupełnie co innego. Znają się od dziecka. Zawsze się kochali.

– A Nick i Abby?

– Tak samo. Właściwie zawsze byli razem. Nick opiekował się

nią i jej młodszą siostrą po śmierci ich rodziców. Zginęli w wypadku samochodowym.

– I zakochali się w sobie tak nagle?

– Słyszę w twoim głosie nutkę sceptycyzmu. Nie wiem dokładnie, jak to się stało. Sądzę, że od początku coś do siebie czuli, ale zrozumieli to dopiero po pewnym czasie.

Spojrzała na niego wymownie.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział. – Są jeszcze moi rodzice. Od ponad trzydziestu lat żyją w niczym nie zmaconej harmonii, jeszcze teraz potrafią patrzeć sobie w oczy przy księżycu i spacerować, trzymając się za ręce:

– A więc tych wyjątków jest całkiem sporo.

– W porównaniu z liczbą nieszczęśliwych związków to kropla w morzu.

– I dlatego właśnie postanowiłeś nie próbować?

– Ależ próbowałem.

– Wiele razy? – Postawiła pytanie i dopiero w chwilę później zdała sobie sprawę z tego, że nie powinno jej to obchodzić. Nie zamierzała przecież być jego kolejną próbą.

Joe uśmiechnął się.

– Raczej tak. Nie oszczędzałem się.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

Facet o takim wyglądzie i takich możliwościach musiał chyba

barykadować drzwi przed hordami kobiet.

– Daj mi skończyć – poprosił, dalej się uśmiechając. – W swoim czasie spotykałem się z wieloma kobietami, ale to nigdy nie była prawdziwa miłość.

– Nigdy się nie zakochałeś? – Liz w duchu modliła się, żeby Joe odpowiedział „nigdy”, chociaż nie bardzo wiedziała, dlaczego tak bardzo jej na tym zależy.

– Jakoś tak wyszło. Bardzo mi przeszkadzały te wszystkie przykłady nieudanych związków, a nie mogłem uwierzyć, że coś tak nadzwyczajnego jak to, co przytrafiło się moim rodzicom, może się stać również moim udziałem.

– Więc na wszelki wypadek wolałeś sobie odpuścić?

– Można tak to nazwać. W każdym bądź razie zbyt dużo widziałem, żeby ryzykować porażkę. Powiedzmy, że w pewnym momencie zaprzestałem prób.

Liz zadrżała.

– Zimno ci? – zapytał. Skinęła głową.

– Zrobiło się chłodno.

– Zaraz temu zaradzimy. Wziął ją za rękę.

– Co chcesz zrobić? – zapytała wstając.

Każdy na jego miejscu próbowałby ją przecież jakoś rozgrzać. Ciekawe, jaki sposób wybierze Joe? Po faz któryś z rzędu zaskoczył ją.

– Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce. Nie mogę dopuścić, żeby podpora oddziału noworodków, niezłomna siostra Anderson dostała kataru – oświadczył i pociągnął ją w stronę rodzinnego domu.

Poczuła się zawiedziona i rozczarowana. Dziewięciu na dziesięciu mężczyzn z pewnością postarałoby się jakoś inaczej rozgrzać zmarzniętą dziewczynę, z którą wieczorem znaleźli się sam na sam nad brzegiem basenu. Dlaczego Joe na siłę próbuje jej udowodnić, że jest właśnie tym dziesiątym?

Miał właśnie chwilę wytchnienia, bo dzieci znalazły się w ramionach rodzicielek i mógł trochę odpocząć. Postanowił iść do baru i napić się czegoś zimnego; po drodze zajrzał jednak do sali numer dwa i przypomniał sobie, że właśnie tego dnia Liz ma zajęcia z młodymi matkami. Wsunął głowę, żeby po prostu zorientować się, co i jak, a nie, by ją zobaczyć, mimo że nie widział jej od dwóch dni i bardzo za nią tęsknił.

Liz stała na środku pokoju, uważnie słuchając jednej z kobiet, tak zaaferowana, że nie zauważyła, kiedy Joe wśliznął się do środka i usiadł z tyłu. Miała na sobie obcisłe spodnie i białą koszulkę w zwierzaczki, w czym może nie przypominała *femme fatale*, ale wyglądała przeuroczo.

Zasłuchana, przygryzała lekko wargi, i Joe doszedł do wniosku, że ma bardzo piękne, wyjątkowo kuszące usta. Jak mógł tego

jeszcze nie zauważyć? I jak to się stało, że dotychczas nie spróbował ich pocałować?

Odkąd opowiedziała mu historię swojego życia, nie przestawał o niej myśleć. Obraz Liz towarzyszył mu stale, w dzień i w nocy. Chciał ją pocałować wtedy nad basenem i sądząc po tym, jak na niego patrzyła, ona też miała na to ochotę, ale coś go powstrzymało.

Po co rozbudzać w niej nadzieję... Jego ciało jednak nie przyjmowało podobnych argumentów. Im dłużej na nią patrzył, tym było gorzej. Może trzeba zacząć jej unikać? Najlepiej będzie, jak zaraz stąd wyjdzie. Podniósł się, potrącił krzesło, które upadło z hukiem, i nagle wszystkie głowy skierowały się w jego stronę. Zesztywniał jak zając schwyty w światła reflektorów.

Barbara zamachała do niego ręką.

– Cześć, Joe! Przyszedłeś nas oświecić?

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, odezwała się Andie:

– Ostatnim razem tak ci wspaniale poszło... Może dzisiaj też nam pomożesz?

Tak był skoncentrowany na ustach Liz, że prawie nie rozumiał, co do niego mówią. Na wszelki wypadek postanowił zastrzec, że nie czuje się na siłach rozwiązywać tak skomplikowanych spraw. To można było powiedzieć w ciemno.

– Nie chciałbym przeszkadzać. Zajrzałem tylko na chwilę, bo

mam przerwę w zajęciach. Zaraz się skończy pora odwiedzin i muszę lecieć do dzieci.

W oczach Liz zapaliły się światełka.

– Naszym nowym koleżankom pragnę przedstawić wolontariusza z oddziału noworodków. Oto Joe Marchetti.

– Witam. – Joe bez przekonania machnął ręką. Rozpoznał Andie i Valerie, tę, co miała kłopoty z jedzeniem;

Barbarę z Tommym, którego tak spektakularnie ujarzmił, i inne matki. Nie znał jedynie dwóch lub trzech. Te nowe były najbardziej umęczone.

Liz chyba odgadła, że nie słyszał ani słowa z tego, co zostało powiedziane.

– Rozmawialiśmy właśnie o tym, co nazywam syndromem poporodowego libido. Próbujemy jakoś rozwiązać ten tak ważny dla młodych matek problem. Bardzo kochają swoich mężów i chciałyby im jakoś tę miłość okazać, ale jeszcze nie potrafią tego zrobić. Rozumiesz chyba, co mam na myśli.

Joe jęknął w duchu. Znowu te niedomówienia i dwuznaczniki. Wiadomo, że chodzi o „te sprawy”. Zerknął na zegarek.

– Zrobiło się późno. Muszę wracać, mam bardzo surowego szefa.

Barbara kołysała śpiące niemowlę.

– Nie tak szybko, Joe. Wiesz, o czym mówimy, skup się.

Przecież masz to przemyślane.

Nie mógł powiedzieć, że od tamtego wieczoru nad basenem nie myśli o niczym innym. Stale czuje zapach Liz i delikatny dotyk jej dłoni; stale sobie wyobraża, jaki smak mają jej usta i zastanawia się, czy kiedykolwiek go pozna. ‘

– A o co właściwie chodzi? – zapytał lekko schrypniętym głosem.

– Urodziłam cudownego chłopczyka i jeszcze nie wróciłam do formy. Kocham męża, ale boję się, że już nigdy nie będę mogła z nim... być. Jesteś mężczyzną i...

Andie parsknęła śmiechem.

– Ale mu powiedziałaś komplement! Inna z kobiet zawtórowała jej.

– Jesteś mężczyzną na schwał, Joe! Chyba nie uchylisz się od odpowiedzi.

Liz roześmiała się.

– Daj spokój, Christino, jeszcze go spłoszymy, a może przecież wnieść wiele nowego do naszej dyskusji.

Barbara spojrzała na niedoszłego dyskutanta.

– Jeśli czujesz się nieswojo, nie będziemy cię zmuszać. Pomyślał, że tylko jedna osoba na sali sprawia, że czuje się nieswojo. Ma śliczną figurę i usta stworzone do całowania. Przez sekundę zamierzał powiedzieć to na głos. Skoro tak się tutaj

szczerze o wszystkim rozmawia... Potem uznał jednak, że to spotkanie ma pomóc młodym matkom przezwyciężyć stresy związane z macierzyństwem, a nie – rozwiązać uczuciowe problemy pewnego samotnego wolontariusza. Liz przerwała jego rozmyślenia.

– Masz na ten temat coś do powiedzenia? – zapytała. Tęsknym wzrokiem obrzucił jej usta. Skojarzenie nadeszło natychmiast.

– Zaczęlbym od pocałunków... Uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Jak to?

Miała niejasne przeczucie, że czyta w jego myślach i bardzo ją to peszyło.

– Zastosowałbym metodę małych kroczków – mówił pewniejszym już głosem Joe – a potem stopniowo przeszedłbym do meritum.

Wstał i wyszedł na środek sali.

– Macie za sobą najbardziej intymne, najcudowniejsze wspólne doświadczenie, jakie może się stać udziałem istoty ludzkiej. Dziecko. Czy może być coś ważniejszego i bardziej spajającego związek? Nie. Ale z nową sytuacją wiążą się nowe wyzwania. Dziecko pochłania wasz czas i wasze siły. Z niepokojem obserwujecie, że zaczyna wam ich nie starczać dla ukochanego mężczyzny. On też to widzi i nazbyt często mylnie interpretuje.

Z kąta sali dobiegło długie westchnienie.

– Na pocałunek i krótką pieszczotę zawsze można znaleźć czas – ciągnął Joe – a potem... same nie zauważycie, kiedy stanie się to, co teraz wydaje się przekraczać wasze siły. Stanie się zupełnie naturalnie i spontanicznie. Libido to bardzo subtelna sprawa i trzeba się z nim obchodzić szczególnie delikatnie. – Jego twarz rozjaśnił uśmiech. – A najlepszego ucznia spotyka zasłużona nagroda.

Barbara zabrała głos pierwsza.

– Kiedy tak o tym mówisz, to się wydaje bardzo łatwe.

– Bo jest. Wystarczy tylko uchylić drzwi...

Teraz roześmiały się wszystkie, a Christma nawet lekko się uniosła.

– Skąd tyle o tym wiesz? – zapytała. – Jesteś żonaty? Joe pokręcił przecząco głową.

– Nie, ale moja siostra miała te same problemy co wy teraz. Znosi się zresztą na powtórkę, bo jest drugi raz w ciąży.

Christina spojrzała na niego wesoło.

– To znaczy, że będziesz miał znowu pole do popisu.

– Taka jest rola wujka. Liz spojrzała na zegarek.

– Myślę, że na tym skończymy. Dobranoc wszystkim. Następnym razem spotykamy się za tydzień. Dziękuję ci, Joe. Twoje uwagi jak zwykle bardzo wiele wniosły do naszej rozmowy. Wśród kobiet rozległ się szmer podziękowań i szuranie

zbieranych toreb i koszyków. Joe podszedł do Liz.

– Słowa uznania za strony kogoś tak wymagającego jak ty to miód na moje serce.

Uniosła na niego oczy.

– Nie rzucam słów na wiatr. Mówię to, co myślę, a teraz do widzenia.

Wstała i poszła w stronę wyjścia. Miał wielką ochotę trochę z nią porozmawiać i przez chwilę miał również nadzieję, że Liz zatrzyma się i zostanie. Nie zrobiła tego. Właściwie dlaczego miałyby marnować czas na pogawędki z kimś, na kim jej kompletnie nie zależy... Takie są fakty i tak jest najlepiej. Na pewno tak jest najlepiej.

Skończyła właśnie papierkową robotę i zamierzała wyjść, kiedy rozległ się dźwięk pagera. Najbliższy telefon znajdował się przy biurku wolontariuszy. Na nieszczęście był tam właśnie również jeden z nich – Joe Marchetti. Na próżno przez cały dzień próbowała o nim nie myśleć. Od czasu rozmowy nad brzegiem basenu Joe tkwił w jej pamięci, jakby ją zahipnotyzował. Wyobrażała sobie pocałunek, do którego nie doszło. Nie pojmowała tego. A przecież zwykle rozumiała wszystko, a zwłaszcza motywy kierujące mężczyznami.

Zawsze można sobie powiedzieć, że nie pocałował jej, bo jego rodzina była tuż obok. Albo dlatego, że mu się nie podoba. Albo

po prostu, tak jak mówił, bo nie zamierza kolejny raz próbować. Teraz jednak musiała spojrzeć mu w oczy. Podeszła do biurka; Joe uśmiechnął się.

– Przed chwilą cię wzywano.

– Tak, wiem.

Podniosła słuchawkę i lekko się odwróciła.

– Liz Anderson, słucham.

– Mówi Ernie ze sklepu materiałów biurowych – usłyszała.

Cichutko jęknęła.

– Proszę mi tylko nie mówić, że nikt od was nie będzie mógł zmontować mojego biurka pod komputer.

– Niestety, tak właśnie jest. Mamy mały zastój i będziemy musieli wykonanie zamówienia odłożyć na jakieś trzy tygodnie. Bardzo przepraszamy, ale mieliśmy wyprzedaż, no i panuje grypa, dlatego wielu pracowników jest nieobecnych.

– Trzy tygodnie! Mój komputer stoi teraz na małym stoliczku i bardzo mu tam niewygodnie.

– Jeszcze raz przepraszam, w każdej chwili jesteśmy gotowi zwrócić pieniądze.

Liz z rezygnacją pokręciła głową.

– To nie wchodzi w rachubę. Biurko bardzo mi się podoba i świetnie pasuje do wystroju mojego mieszkania. A do tego cena jest przystępna. Trudno, muszę poczekać.

Rozejrzała się bezradnie i napotkała pytające spojrzenie stojącego obok mężczyzny.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał. Zakryła dłonią słuchawkę.

– Przepraszam na chwilę, Ernie. Co mówiłeś, Joe?

– Słyszałem twoją rozmowę i domyślam się, o co chodzi. Kupiłeś biurko pod komputer i nie ma kto go złożyć. Jeśli trzeba, to ci pomogę.

– Nie mogę cię fatygować. Zmarszczył brwi.

– Innymi słowy, nie masz do mnie zaufania.

– Tego nie powiedziałam.

– Wyczytałem to między wierszami.

– A znasz się na tym?

– Znam się na wszystkim. Zdolny ze mnie chłopak.

Liz obrzuciła wzrokiem jego muskularne ramiona widoczne spod podwiniętych rękawów. Joe doskonale nadaje się do stolarki i... chyba nie tylko.

– Naprawdę znowu zgłaszasz się na ochotnika?

– Tak.

W jego oczach dostrzegła ogniki i natychmiast dorzuciła:

– Mam na myśli złożenie bardzo skomplikowanego biurka pod komputer. To nie są dwie deski na krzyż i blat pośrodku. To naprawdę wymaga znajomości rzeczy.

– Uwielbiam ryzyko.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Od tego właśnie ma się przyjaciół ale stawiam pewien warunek.

Tu cię mam, pomyślała Liz; trudno, z kimś takim warto podjąć” nawet niebezpieczną grę. Stale jeszcze myślała o tamtym pocałunku, gotowa zaryzykować następne rozczarowanie.

– Jaki warunek?

– Ja składam deski, ty dzwonisz po pizzę. Skinęła głową i wróciła do przerwanej rozmowy.

– Ernie?

– Jeszcze tu jestem. Dostarczymy co trzeba w sobotę rano, wszystko... oprócz pizzy.

Liz roześmiała się wesoło.

– Dziękuję, Ernie.

Joe zmarszczył brwi.

– Kto to jest ten cały Ernie? Nie odpowiedziała.

– O której możesz do mnie zajść w sobotę? – zapytała, jakby nie dosłyszała.

– Co to za facet? – nie ustępował Joe.

– Dostarczą mi całość o ósmej. – Ona również nie ustąpiła.

– Jeśli lubisz się wylegiwać w łóżku, możesz się zjawić koło południa.

– Będę wpół do ósmej, przyniosę rogaliki na śniadanie.
– Myślałam, że zapewnienie jedzenia to moje zadanie.
– Twoim zadaniem jest przyjąć towar i zamówioną pizzę –
powiedział sentencjonalnie Joe – i dobrze ci radzę: nie ufaj
facetowi o imieniu Emie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, a szklane drzwi same się przed
nim otworzyły.

Liz długo patrzyła w ślad za nim, zastanawiając się, czy może
ufać facetowi o imieniu Joe...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Joe zamknął drzwi za dostawcą i wrócił do kuchni. Liz parzyła właśnie kawę. Nie mógł się już doczekać; miał za sobą bezsenność noc. Całe życie cierpiał na bezsenność, a ostatnio było znacznie gorzej. Kiedy wreszcie zapadał w sen, śniła mu się Liz i natychmiast powracał na jawę.

Nie miał najmniejszego problemu z wczesnym przyjazdem do niej. Nie spał od czwartej. Teraz patrzył, jak Liz ustawia kubki, bierze mleko i cukier.

– Późno się położyłeś? – zapytała.

– Wczesnie wstałem. – Nie zamierzał jej informować, że nie mógł zasnąć, bo o niej myślał że kiedy się budził, jej obraz go prześladował.

– Jak ona ma na imię? – Liz spojrzała na niego spod oka, a potem znowu się odwróciła i napełniła kubki kawą.

– Nikogo nie ma – skłamał. Na imię ma Liz, dodał w duchu. – A on ma na imię Ernie – dodał, biorąc od niej kubek.

Denerwowało go, że żartowała sobie i przekomarzała się z dostawcą, a zwłaszcza że była ubrana tylko w koszulkę i szorty i ten facet mógł sobie do woli patrzeć na jej ramiona i nogi, a nawet na boscie stopy, bo Liz w domu chodziła na bosaka. Nie wiedzieć

czemu nawet najmniejszy fragment jej nagiego ciała miał w sobie coś niesłychanie seksownego. A ona nawet nie włożyła tenisówek, kiedy ten facet zadzwonił do drzwi.

– Dodać ci mleka i cukru? – zapytała. Joe skinął głową.

– A on ma na imię Emie – powiedziała – zgadłeś. Bardzo przyjaźnie z nim rozmawiała przez telefon, musi go lubić, cieszy się pewnie, gdy go spotyka... Joe przegnał dziwaczne myśli z głowy; niedługo zacznie być o nią zazdrosny! Najpierw ta historia z braćmi, a teraz Bogu ducha winny dostawca mebli. Odkąd to tak szybko dochodzi do pewnych wniosków? Dotychczas to była przecież specjalność Liz.

Zresztą sama go sprowokowała swoim pytaniem. A może ona jest o niego zazdrosna? Ciekawe, co by powiedziała, gdyby jej oświadczył, że nie mógł zasnąć, bo całą noc o niej myślał. Tak czy inaczej, nie potrafił nad sobą zapanować, kiedy widział obok niej innego mężczyznę.

– W porządku – powiedział i by zatrzeć jakoś wrażenie, jakie mogła wywołać jego dziwnie nieproporcjonalna reakcja, zmienił temat. – Ładnie tu u ciebie.

Zabrzmiało to jak uwaga o pogodzie czy o czymś równie banalnym, ale naprawdę mu się u niej podobało. Dziś był tu po raz pierwszy, bo wtedy, kiedy wpadł po nią, żeby ją zabrać na urodziny Stephanie, nie zaprosiła go do środka; czekała w

drzwiach z torebką w rękę i zaraz pojechali.

Liz rozejrzała się.

– Lubię tę moją norkę. Jest czysto i przyjemnie, żadnych wspomnień, nic, same dobre skojarzenia.

Nie tak jak te z domu rodzinnego... Zapraǳał nagle wytrzeć z jej pamięci wszystkie złe wspomnienia, zrzucić z jej pleców ciężar przeszłości, by mogła życie rozpocząć na nowo. Nie wierzył, że to możliwe. Mógł jedynie sprawić, by się go nie bała; by zrozumiała, że z jego strony nic jej nie grozi i że może go traktować jak przyjaciela.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytał.

– Od roku.

– Bardzo ładnie to urządziłaś.

Drewniana podłoga, pastelowe Ściany, białe framugi, a dalej w salonie – kominek z czerwonej cegły, kanapa, dwa wiklinowe fotele. Wszystko doskonale dopasowane, ciepłe i przytulne.

– Jak duża jest całość?

– Salonik, pokój do pracy, kuchnia i sypialnia. Niedużo, ale przy moich dochodach akurat. Mnie to wystarcza.

Dokładnie tyle, ile potrzebuje jedna osoba Przestrzeń doskonale dopasowana do wymogów kogoś, kto nie przewiduje w swoim życiu miejsca dla drugiego człowieka. Jasno i konsekwentnie. Liz taka właśnie jest: zdecydowana i konsekwentna. I to mu się w niej

bardzo podoba.

– A biurko postawisz w gabinecie?

Liz odstawiła kubek i spojrzała na niego z niemym podziwem.

– Ale ty jesteś inteligentny – rzekła po chwili. – Myślałby kto, same mięśnie, ani śladu mózgu, a to nieprawda. Brawo! Trafiłeś w samo sedno.

– Dobra, dobra – odparł takim samym tonem – nie musi mi pani tak pochlebiać, szefowo, i tak złożę te biurko.

– A propos biurka. Pudła czekają w moim gabinecie. Joe uniósł brwi.

– W liczbie mnogiej? To takie wielkie to twoje biurko? Droga do pudeł wiodła przez sypialnię.

– Nie mów, że cię nie uprzedziłam. – Liz ruchem dłoni wskazała mu dwie okazałe rozmiarów paki.

Joe zmusił się do spojrzenia we wskazanym kierunku. Dotąd całą swoją uwagę skupiał na smukłych nogach swej przewodniczki. Wcale go nie uprzedziła, że będzie tak ponętnie wyglądać, ani że on będzie tak wrażliwy na jej wdzięki. A przecież Liz wcale, ale to wcale nie jest w jego typie. On lubi kobiety wysokie i posągowe, ona zaś jest mała i dziewczęca, ale... Co tu dużo mówić, ma w sobie tyle wdzięku i tego czegoś, że może usidlić najbardziej wytrawnego kobieciarza.

Spokojnie, Joe. Na szczęście ta dziewczyna ma dość zdrowego

rozsądku, żeby trzymać się z daleka od ciebie, bo gdyby tak nieco zmniejszyła dystans... Wtedy on by się nie opanował, a ona przegnałaby go na cztery wiatry. A tak, tak może ma jakąś szansę. Jeśli będzie grzeczny, może jej nie spłoszy.

Rzut okna na jej sypialnię wzbudził w nim niepokój. Przemknęło mu przez głowę, że niepotrzebnie ofiarował się z pomocą, bo pobyt w jej domu obudził w nim mgliste nadzieje, których nie chciał analizować.

Liz pochyliła się nad pudłami.

– I z tego ma powstać moje cudowne biurczko pod komputer? Nie wiem, jak to będzie. Na razie to kupa desek.

– Nic się nie bój. Marchetti już sobie z tym poradzi.

– Byłabym spokojniejsza, gdybyś z zawodu był konstruktorem, a nie specjalistą od spraw personalnych. Nie wydaje mi się, żeby ktoś, kto kieruje działem zasobów ludzkich, miał wielkie doświadczenie w montowaniu mebli.

W jej głosie zabrzmiał sceptycyzm.

– Zasoby to moja specjalność – pocieszył ją Joe. – Mam nieprzebrane zasoby rozmaitych zalet, które w zależności od okazji wykorzystuję ze znakomitym skutkiem. Zaraz ci zademonstruję jedną z nich.

– Joe Marchetti, stolarz doskonały? – zażartowała.

– Otóż to. – Joe mrugnął okiem i zakasał rękawy. – Liczą się

nie słowa, lecz czyny.

Zebrała brudne talerze ze stołu i wstawiła je do zlewu. Zjedli właśnie późny lunch. Joe spisał się znakomicie, zmontował biurko tak, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Liz zaimponowało zwłaszcza to, że zrozumiał instrukcję, tak długą jak „Wojna i pokój” i tak skomplikowaną jak filmowa wersja tej książki. Liz zamówiła pizzę, ale gdy prace stolarskie się przeciągały, doszła do wniosku, że spracowanemu mężczyźnie należy się solidny domowy posiłek.

Joe podniósł się od stołu.

– Pomogę ci zmywać.

– Chyba żartujesz. Tyle dziś dla mnie zrobiłeś, że nawet ci nie pozwolę wycierać naczyń.

– Ten kurczak był znakomity.

– Wcale nie czekałam na komplement.

– To nie komplement, to stwierdzenie faktu. Bardzo mi odpowiada twoja kuchnia. Bądź tak dobra i powiedz dziękuję.

– Dziękuję. Muszę ci wierzyć. To wielka pochwała w ustach kogoś, kto całe życie jada w restauracjach.

– Jednak ci pomogę.

Joe wstał i podszedł do niej. Liz, nie przygotowana na jego bliskość, zupełnie straciła głowę. Zaschło jej w gardle, ręce zadrżały, wyobraźnia zaczęła podsuwać najbardziej szalone

obrazy.

Chyba niepotrzebnie zaprosiła go do swego domu. Skąd ten pomysł, by przyjąć jego pomoc przy montowaniu tego nieszczęsnego biurka? Powiedziała, że lubi swoje mieszkanie, bo .

nie ma w nim wspomnień... Teraz będzie ich miała pod dostatkiem i wszystkie będą związane z Joem.

– Dobrze – wybąkała zmienionym głosem – bardzo proszę. Joe podstawił talerz pod strumień wody i syknął.

– Weszła mi drzazga przy tym montażu.

Liz natychmiast odnalazła się w roli pielęgniarki.

– Zaraz się tym zajmujemy. Próbował protestować.

– Daj spokój, to zwykła drzazga.

– Pozwolisz, że ja o tym zadecyduję. I nie bój się, siostra Liz jest przy tobie. Jak będzie trzeba, to coś ci zaśpiewam i odwrócę twoją uwagę od ogromnej igły.

Joe pełnym determinacji ruchem schował ręce do kieszeni.

– Nie pozwolę zrobić sobie operacji bez znieczulenia. Liz skrzywiła się komicznie.

– Zwykła drzazga, zwykła drzazga – zaszczebiotała – mój ty bohaterze. A już myślałam, że Joe Marchetti niczego się nie boi. Chyba nie chcesz tego tak zostawić? Zaropieje i będziesz miał brzydką szramę na tym swoim pięknym ciele.

Nieco się zagalopowała. Zarumieniona szybko wyszła z kuchni.

Po chwili wróciła z domową apteczką, z której wyjęła bandaż, opatrunek, plaster i wodę utlenioną. Położyła je na kuchennym stole i spojrzała na pacjenta. Podejrzliwym wzrokiem śledził jej ruchy. Mogłaby przysiąc, że jego usta lekko drgnęły.

– Tylko mi tu nie rób podkówki – powiedziała teatralnie surowym tonem. – Grzeczne dzieci nie płaczą.

– Stale sobie ze mnie żartujesz – powiedział ze skargą w głosie ~ a teraz na dodatek wykorzystujesz sytuację. Jestem ranny i nie mogę się bronić.

Liz spoważniała.

– Koniec żartów, Joe. Tę ranę naprawdę trzeba przemyć. Ujęła jego dużą dłoń w swoje małe ręce i przy pomocy pęsetki wyjęła drzazgę.

– Teraz może trochę poszczypać, ale to konieczne. Nawet najmniejsze zranienie grozi infekcją. A jak zapewne wiesz, najważniejsza jest odpowiednia terapia.

Jego dłonie miały w sobie delikatność i siłę. Dotykając ich, myślała o tym, czym może być ich pieśczoła. Joe drgnął.

– Nie wierzę ci. Sama kiedyś powiedziałaś, że w takich sytuacjach zawsze kłamiesz.

Znajdowali się teraz bardzo blisko siebie. Liz nie puszczała jego ręki; zaczęła starannie przemywać zranione miejsce. Jego bliskość, jego zapach sprawiały jej przyjemność. Ciekawe, jak

długo może tak bawić się w siostrę miłosierdzia, zanim wzbudzi jego podejrzenia. Wiedziała, że nie powinna w nieskończoność przedłużać tej sceny. Uniosła głowę.

– Kiedy posprzątamy w kuchni, obejrzymy sobie jakiś film na wideo, chcesz?

Powiedziała to bez zastanowienia; chciała cofnąć swe słowa, ale było już za późno.

– Pewnie – zgodził się Joe.

– Mam jakiś horror i film, o którym nic nie wiem. Co wolisz? Joe zerknął na swoją opatrzoną już dłoń.

– Mało miałaś dzisiaj krwi?

– Jest też musical, jeśli lubisz coś zwiewnego.

– Niech będzie to nie wiadomo co, zawsze to jakaś niespodzianka.

– Racja.

Ciekawe, co on chciał przez to powiedzieć; jakiej to niespodzianki się spodziewa w jej przytulnym saloniku? By ukryć zmieszanie, poprawiła opatrunek na jego dłoni.

– Chciałbym cię o coś zapytać – powiedział.

Liz zdrętwiała, a jednocześnie zalała ją fala gniewu na ojca. To przez niego każde nawet najbardziej niewinne słowo tego mężczyzny odbiera jako podstęp i chęć wyrządzenia krzywdy. Uśmiechnęła się sztucznie.

– Bardzo proszę, słucham.

– Jak wiesz, za miesiąc mój brat Nick się żeni.

– Wiem, w czerwcu. To bardzo dobry miesiąc na ślub.

– Pójdiesz ze mną?

Oczy Liz zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Ja?

– Jesteśmy przecież przyjaciółmi. Oddałabyś mi tym wielką przysługę.

– Jak to?

– Matka da mi spokój i przestanie się dopytywać, dlaczego znowu przyszedłem sam. I jeszcze coś. Osłonisz mnie.

Mina Liz wyrażała więcej niż słowa, których nie mogła wykrztusić.

– Na każde wesele – wyjaśnił jej Joe – przybywa stado panien, które tylko patrzą, kto jeszcze został do wzięcia i przyklejają się do niego na cały wieczór. Nie zniósłbym tego.

Liz chrząknęła.

– Masz być družbą? – zapytała normalnym już głosem.

– Tak, i to pierwszym. Nie jest to spowodowane jakimiś moimi wyjątkowymi przymiotami, po prostu tradycyjnie tę funkcję pełni brat pana młodego.

Liz przygryzła usta.

– No, to rzeczywiście masz kłopot.

– Dlaczego?

– Pierwszy drużba wyjątkowo rzuca się w oczy i jest bardzo łatwym celem.

– Gdybyś się zgodziła mi towarzyszyć, byłbym bezpieczny i mógłbym beztróska się cieszyć szczęściem brata.

– Potrzebna ci tarcza? Przez chwilę się zastanawiał.

– Można to tak nazwać. To co? Pójdiesz ze mną? Liz skinęła głową.

– Tak, z dwóch powodów. Po pierwsze, bardzo lubię twoją rodzinę i chętnie ich wszystkich znowu razem zobaczę. Po drugie, po tym zmontowaniu biurka jestem twoją dłużniczką. Bardzo chętnie ci się odwdzięczę i będę służyła za tarczę i ochronę w tym pięknym dniu.

Joe nie krył zadowolenia.

– Dzięki.

Jeszcze raz obrzuciła jego rękę wzrokiem pielęgniarki.

– Dobrze ci się trzyma opatrunek?

– Jest super.

– W takim razie dam ci jeszcze jedną zbawienną radę: staraj się go nie zabrudzić i nie zmoczyć.

Joe spojrział w stronę salonu.

– A czy mógłbym od ciebie zadzwonić?

– Bardzo proszę.

– Przy okazji wpiszę ci datę ślubu Nicka do kalendarza. Starala się odpędzić od siebie podejrzenia, do kogo Joe chce telefonować. Pewnie do jakiejś kobiety... Ale przecież może sobie dzwonić do kogo chce, jest wolnym człowiekiem. Zresztą prawdopodobnie rozmawia z któregoś z braci. Albo mamusią... Uśmiechnęła się do siebie ironicznie, wyprowadzona z równowagi swoją nagłą zazdrością. Wszystko jest możliwe, ale to nie jej interes.

Joe po chwili wrócił.

– Kończymy to zmywanie i idziemy do kina – oświadczył, zacierając ręce.

Liz włączyła wideo i usiadła na kanapie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie swój błąd. Nie powinna była pierwsza zajmować miejsca i pozwolić, żeby Joe ulokował się koło niej. Oczywiście, skorzystał z okazji i usiadł tak blisko, że ich ramiona prawie się zetknęły.

A przecież mógł usiąść w fotelu albo na krześle. Mógł zająć miejsce na drugim końcu kanapy, a nie tak... Teraz nie mogła jednak wstać ani się odsunąć, bo zachowałyby się niepoważnie. Wyprostowała się sztywno i postanowiła myśleć pozytywnie: Joe zranił się w rękę, pomagając jej przy montażu biurka, zachował się jak przyjaciel, ona też powinna tak się zachowywać, zamiast sobie wmawiać, że łączy ich coś innego.

Joe przeciągnął się.

– W takim razie zaczynamy.

Na ekranie telewizora ukazała się czołówka. Joe usadowił się wygodnie i objął Liz. Pewnie tak właśnie robią przyjaciele. Nie znała się na tym. Miała już chłopaków, ale jeszcze nigdy nie miała przyjaciela. Z wysiłkiem skupiła się na obrazkach migających na ekranie. Po jej ciele rozlało się ciepło, ciśnienie wzrosło.

Wszystko wskazywało na to, że powtórzy się scena znad basenu. Tylko że teraz nie było gwiazd, a Liz za nic nie chciała wprowadzać się w podobny stan. Wiedziała, czym to grozi: znowu mogłaby zapragnąć, by Joe ją pocałował.

Lekko zwróciła ku niemu głowę. Miał oczy zamknięte, oddychał spokojnie i równo. Jego uścisk osłabł, całe ciało się odprężyło. Zasnął! Spał u jej boku jak niemowlę!

– Nie sądziłam, że film aż tak cię wciągnie – powiedziała głośno, a Joe ani drgnął.

Spróbowała wstać, ale jego dłoń silniej zacisnęła się na jej ramieniu. Była uwięziona, a nie chciała go budzić. W sumie nie było to dla niej, jako dla kobiety, zbyt pochlebne, ale przecież tak bardzo się napracował.

Głęboko westchnęła. Najlepszy dowód, że naprawdę jesteśmy tylko przyjaciółmi...

Ta myśl powinna ją uspokoić, ale zamiast tego Liz poczuła rozgoryczenie i smutek. Musiała się bardzo postarać, żeby udać

przed samą sobą, że nie rozumie, dlaczego tak jest.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Coś obok niego lekko się poruszyło i poczuł dotyk ciepłego drobnego ciała. Pomyślał, że to Liz i uśmiechnął się do siebie. Było mu bardzo dobrze i chciał tak zostać na zawsze. Znowu ogarnął go sen.

Coś mu jednak przeszkodziło. Ze snu wybił go nagle jakiś dziwny dźwięk. Jakby westchnienie albo łkanie. Otworzył jedno oko i wynurzył się na powierzchnię. Nie spał tak głęboko i spokojnie już od wielu dni.

Na ekranie telewizora pojawił się napis „koniec” i obraz zaczął gasnąć. Zrozumiał, że zasnął obok Liz, w jej salonie, na kanapie. Kompletny idiota! Nie dość, że zasnął, to ona jeszcze do tego płacze!

Usiadł, próbując stłumić w sobie poczucie winy – wyspał się po raz pierwszy od niepamiętnych czasów!

– Cześć – powiedział, przecierając oczy. – Tak strasznie nie lubię, jak się film kończy.

– Dzień dobry, śpiochu, nie oszukuj. Dobrze wiem, że cały czas spałeś.

– Chyba montowanie twojego biurka zmęczyło ranie o wiele bardziej, niż pozwala mi przyznać moja męska duma.

Liz przesunęła się na drugi koniec kanapy i podciągnęła nogi pod brodę.

– Nie ma sprawy.

Spostrzegł w jej oczach wyrzut. Przypomniawszy sobie, co mówiła o swoim ojcu, przypomniał sobie jej niewinne na pozór poranne pytanie, jak spędził noc. Na pewno myślała, że był z jakąś kobietą. Widział, że zrobił jej przykrość i chciał to jakoś naprawić.

– Liz... – zaczął nieśmiało.

– Tak... ?

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że nie umawiam się na randki z nikim... innym.

Liz uniosła ku niemu zdumione spojrzenie.

– Nie umawiasz się na randki? Z nikim innym? Joe uniósł rękę.

– Słowo harcerza. Wszystko, co ci o tym mówiłem, jest prawdą. Nikogo nie szukam, niczego nie próbuję. Zawiesiłem działalność, można powiedzieć. Jestem zmęczony, ale to nie noc spędzona z kochanką jest tego powodem.

– Wierzę ci. Zdumiał mnie tylko dobór słów. Tak jakbyś ze mną. – .. to znaczy jakbym ja...

Rzeczywiście musiał bardzo długo i głęboko spać, bo jego mózg pracował na zwolnionych obrotach.

– Co w tym jest takiego dziwnego? Przepraszam, ale nie rozumiem. Chyba nie do końca się jeszcze obudziłem.

Liz zaczerwieniła się.

– Ja po prostu nie wiedziałam, że to była randka. Joe z powagą skinął głową.

– Przepraszam, to moja wina, o czymś zapomniałem. Spróbował ją do siebie przyciągnąć, ale mu nie pozwoliła.

Wtedy bezceremonialnie uniósł ją do góry, posadził obok siebie i pocałował w usta. Rozchyliła wargi, chcąc zaprotestować, a Joe natychmiast to wykorzystał. Całując ją, czuł coś, czego od dawna, a może nawet nigdy, nie odczuwał. Zupełnie jakby umarł i poszedł do nieba. Chciał, żeby już tak zostało na zawsze. Chciał zasypiać spokojnie u jej boku, spać głębokim, niezmaconym snem, a potem budzić się i całować ją. Pożądanie zjawilo się nagle i owładnęło nim bez reszty. Wiedział jednak, że im bardziej jej pragnie, tym bardziej musi się opanować. Zbyt wiele trudu kosztowało go zdobycie jej zaufania, żeby teraz zniszczyć wszystko jednym nieostrożnym ruchem. Musi poczekać, aż Liz sama tego zapragnie.

Oderwał usta od jej ust i delikatnie pocałował ją w policzek, a potem w ucho. Liz leciutko jęknęła i zrozumiał, że trafił w jej czuły punkt. Siłą powstrzymał się, żeby nie szukać dalszych...

Znowu powędrował ustami w kierunku jej ust, lecz Liz delikatnie odwróciła głowę.

– Co się stało? – zapytał.

– Przestań, proszę.

– Ale dlaczego? Zrobiłem coś nie tak?

– Zrobiłeś wszystko cudownie i właśnie dlatego... dlatego powinniśmy to przerwać.

Joe wziął głęboki oddech i dał sobie kilka sekund na ujarzmienie ciała.

– Dlaczego? – zapytał.

Przecież całowanie Liz stanowiło cudowne, z dawien dawna zapomniane przeżycie, o którym już nawet nie śnił. Nie wiedział, przypuszczał tylko, że może coś takiego przytrafiło mu się kiedyś we śnie, jakimś pięknym, długim śnie z bardzo dawnych lat. Nie może teraz zrezygnować z realizacji marzenia i udawać, że nigdy nie istniało. Chciał ją całować, a potem rozpamiętywać każdy szczegół tego pocałunku. Pragnął ją całować i nie rozumiał, dlaczego ona mu tego zabrania.

– To się nie może już nigdy powtórzyć – powiedziała zdławionym głosem.

Poczuł, jak ogarnia go gniew.

– Nigdy to kawał czasu...

Mogło przecież być tak pięknie. Najpierw długo by się całowali, a potem... potem znaleźliby jakiś sposób na to, żeby uzyskać pełnię doznań...

– Dlaczego? – powtórzył.

- Bo to wcale nie jest randka.
- Co za różnica? Przecież jesteśmy przyjaciółmi.
- Przyjaciele tak się nie zachowują.

Nie powiedziała, że przyjaciele się tak nie całują. Zrozumiał, że przeżyła to tak samo głęboko jak on i że boi się nawet wymówić to słowo. Skrzywił się.

– To jedna z tych twoich zasad? Liz skinęła głową.

– Tak, właśnie, to jedna z moich niezłomnych zasad.

– Szkoda, że nie masz tego na piśmie. – Nie mógł się powstrzymać od złośliwości. Czuł się odrzucony *i* skrzywdzony.

Nie zareagowała; szła dalej za tokiem swojej myśli.

– Przyjaźń to przyjaźń i nie ma w niej miejsca na takie sytuacje.

Postanowił przyprzeć ją do muru.

– Możesz zdefiniować to ostatnie pojęcie? Liz wbiła się w przeciwległy kąt kanapy.

– Mam na myśli sytuacje mające doprowadzić do stwierdzenia, czy dana osoba jest właśnie tą jedyną.

– Znowu nie bardzo rozumiem.

– Nie udawaj, Joe. Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby to pojąć. Ludzie spotykają się ze sobą w ten sposób, żeby się przekonać, czy do siebie pasują, czy się lubią, czy mogliby razem spędzić resztę życia. Joe głęboko westchnął.

– Strasznie wszystko komplikujesz.

– Sam zacząłeś.

– Tym pocałunkiem?

Liz z wahaniem skinęła głową.

– Po prostu próbuję nie dopuścić do dalszych szkód.

– I co proponujesz? – zapytał, z góry wiedząc, że zgodzi się na wszystko.

Przełamała się i wypowiedziała zakazane słowo:

– Żadnych pocałunków.

– A bez całowania będziemy się mogli umawiać na randki? Liz próbowała przybrać surowy wyraz twarzy, ale kąciki jej ust zadrżały.

– Naprawdę jesteś niemożliwy. Przed chwilą ci wszystko wyjaśniłam. Spotykać się w ten sposób mogą osoby, które mają jakieś dalsze plany, a w naszym przypadku to nie wchodzi w rachubę.

Chyba niemożliwe, żeby jej reakcja dotyczyła naprawdę czegoś tak prostego jak pocałunek czy randka. Ona czegoś się boi, broni się zaciekle, bo walczy z jakimiś koszmarami z przeszłości. Tylko czas może tu odegrać rolę uzdrowiciela. Wiedział, że dalszym naleganiem niczego nie załatwi, i postanowił ustąpić.

– Dobrze, w takim razie nie będziemy się umawiać na randki.

Odetchnęła z pozorną ulgą.

– Ale w dalszym ciągu możesz mi towarzyszyć na weselu brata

– dodał. – To przecież nie będzie randka.

Liz skinęła głową.

– Dobrze. Pójdę z tobą, bo oddałeś mi przysługę. Zmontowałeś mi biurko i jestem ci za to wdzięczna.

Joe podniósł się.

– Jak zwał, tak zwał, niech będzie. Powiem mamie, że będzie na przyjęciu jeszcze jedna osoba. A teraz muszę iść.

– Zrobiło się późno.

Zrobiło się bardzo późno... Za późno na kolejny pocałunek, na razie za późno na wszystko. Poszedł w stronę drzwi, stale mając w pamięci zalękniony wyraz twarzy Liz. Siostra Anderson uprzedziła go, by nie zabrudził i nie zmoczył opatrunku, ale zapomniała go uprzedzić, by jej nie całował, a to okazało się o wiele bardziej niebezpieczne. Gdyby nie ten jej cholerny ojciec, wszystko byłoby znacznie prostsze...

Odprowadziła go do drzwi frontowych.

– Dobranoc, Joe, i jeszcze raz dziękuję.

– Dobranoc, Liz – odparł, nie patrząc na nią. – Śpij dobrze. Zamknęła za nim drzwi i został sam. Starał się myśleć tylko o tym, jak dobrze się stało, że Liz nie zmieniła zdania i pójdzie z nim na ślub Nicka. Nic nie jest ważne, żadne podejrzenia i sugestie, ważne jest tylko, że znowu ją zobaczy.

Myślała o nim przez cały czas. Myślała o nim, wchodząc w

poniedziałek na oddział. Zostawiła za sobą dom, w którym teraz pełno było wspomnień o nim, i weszła do szpitala, gdzie każdy szczegół przypominał jej Joego;

Pamiętała zwłaszcza jego pocałunki. Każdy rzut oka na kanapę w saloniku wywoływał w niej dreszcz emocji. Mogła przecież do nich nie dopuścić, z łatwością mogła go powstrzymać. Wiedziała, że Joe zacznie ją całować. Pokusa jednak była zbyt silna. Jego dotyk, jego zapach sprawiał, że traciła głowę. Pragnęła go coraz bardziej, i w tym właśnie kryło się największe niebezpieczeństwo. Przekroczenie pewnej granicy z tym mężczyzną było równoznaczne z katastrofą.

Weszła na oddział położniczy i rzuciła okiem na listę nowo przyjętych pacjentek. Rosie Schafer. Jego siostra? Przecież ma termin dopiero za dwa tygodnie.

Szybkim krokiem ruszyła do sali porodowej. Rosie leżała podłączona do monitorów. Obok niej, na krześle, siedział Joe.

– Znowu się zaczyna – jęknęła Rosie i kurczowo chwyciła brata za rękę, po czym zrobiła półobrót i zwróciła się twarzą ku ścianie.
– Naciśnij mi plecy.

Zrobił to, o co prosiła.

– Mocniej – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

– Nie mogę, kochanie. Przebijesz ścianę.

W jego głosie brzmiał żal i rozgoryczenie, że nie może jej

pomóc i ulżyć w cierpieniu. Nie chcąc im przeszkadzać, Liz wycofała się z pokoju. Wiedziała, że Rosie jest w dobrych rękach; zresztą na dyżurze była Samantha, a w takich razach poród zwykle przebiegał bardzo sprawnie. Zdziwiła ją tylko nieobecność męża Rosie, Co robi Steve Schafer, kiedy jego żona rodzi? Dlaczego zastępuje go Joe?

Odpowiedź na te pytania musiała jednak poczekać.

W kilka godzin później, gdy Liz powtórnie zajrzała do pokoju Rosie; ta karmiła już nowo narodzonego syna. Wyglądała na wyczerpaną, ale promieniało z niej szczęście.

– Witaj. Nie wiedziałam, czy masz dzisiaj dyżur – powiedziała.

– Dzień dobry – odparła Liz. – Zaglądałam już do ciebie, ale byłaś trochę zajęta i nie chciałam ci przeszkadzać. Zobaczy

łam, że pomaga ci brat, a ponieważ wiedziałam, że nad wszystkim czuwa Samantha, byłam pewna, że nic ci nie grozi. Rosie roześmiała się.

– I rzeczywiście, ale wolałabym, żebyś ty też tutaj była. Chociaż, prawdę mówiąc, w takiej chwili człowiek nie ma pojęcia, kto jest obok niego. Chyba cię nie obraziłam?

– Nic a nic. – Liz podeszła do łóżka i spojrzała na noworodka.

– Śliczny jest. Wygląda na to, że złamie niejedno dziewczęce serce. Bardzo podobny do ojca.

Rosie z dumą przyjrzała się synowi.

– Tak, jest do niego podobny, ale Steve to nie jest typ faceta, co łamie dziewczynom serca.

– A gdzie on właściwie jest? Nie widziałam go u ciebie. Myślałam, że ktoś taki jak on kotimi nie da się odciągnąć od łóża rodzącej żony.

Rosie westchnęła.

– Musiał wyjechać w interesach. Nie chciał mnie zostawiać, ale mu wytłumaczyłam, że mam termin dopiero za dwa tygodnie i zdąży wrócić. Potem nagle odeszły mi wody i natychmiast wyruszyłam na porodówkę.

– Miałaś szczęście, że Joe akurat był obok.

– To nie przypadek. Wiedział, że Steve wyjeżdża i na czas jego nieobecności zamieszkał u nas. Nie spuszczał mnie z oka, a kiedy musiał wyjść, dzwonił do mnie regularnie. To co prawda obowiązek Nicka, ale on jest teraz tak bardzo zajęty przygotowaniem do ślubu, więc Joe postanowił zastąpić starszego brata.

– Był przy tobie cały czas...

Liz przypomniała sobie, jak dzwonił do kogoś z jej mieszkania i co sobie wtedy pomyślała. Joe po prostu telefonował do

siostry. Zamrugła oczami i rozejrzała się po pokoju; wszędzie stały kwiaty.

– Widzę, że rodzina Marchettich nie traci czasu – stwierdziła z

rozbawieniem.

Rosie roześmiała się.

– Odesłałam ich właśnie do domu, Steve’a też. Był kompletnie wykończony, całą noc jechał, żeby zdążyć.

– Ale mu się nie udało?

– Nie. Nasz mały synek okazał się szybszy. Zaskoczył wszystkich, mamę i tatusia też. Na szczęście wujek Joe był na miejscu.

Liz woląла zmienić temat.

– A jak się teraz czujesz?

– Znakomicie. Bez przesady mogę powiedzieć, że jestem w siódmym niebie.

Liz również nie dostrzegała w tym żadnej przesady. Rosie miała wszystko. Uwielbiającego ją męża, dwoje udanych, zdrowych dzieci, kochającą rodzinę. Jednym słowem – wszystko, I siostra Liz Anderson zaczynała jej zazdrościć.

Gdyby ona poznała kogoś takiego jak Steve... Jest oczywiście Joe i jego pocałunki, ale ona w dalszym ciągu nie może uwierzyć, że to prawda. Stale wietrzy podstęp i rozczarowanie. Przecież to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Czy w ogóle kiedykolwiek uwierzy, że Joe jest szczery, uczciwy i prostolinijny, i że ma dobre zamiary?

Przysiadła na skraju łóżka i spojrzała na maleństwo ssące pierś

matki. Uczucie zazdrości pojawiło się znowu. Codziennie widywała podobne obrazki; naprawdę lubiła swoją pracę, ale nie mogła w takich chwilach nie zastanawiać się, czy ona, Liz, kiedyś też będzie miała dzieci. Oczywiście, najpierw musi wyjść za mąż, a to zawsze wydawało jej się nieprawdopodobne.

– Wiesz już, jak go nazwiesz? – zapytała, nie spuszczać oczu z maleństwa.

– Joseph Steven Schafer – odrzekła bez wahania Rosie. Imię otrzyma po wujku... Liz uśmiechnęła się.

– Przyszedł na świat w samą porę. Teraz już na pewno będziesz mogła być na ślubie swojego brata.

Rosie skinęła głową.

– Abby prosiła mnie, żebym została jej druhną, ale musiałam odmówić z powodu ciąży, a teraz nie ma już żadnych przeszkód i mogę spokojnie iść na ślub Nicka. Tak długo szukał właściwej kobiety... Ale a propos, bardzo się cieszę, że ty staniesz u boku mojego drugiego brata.

– Tak, przyrzekłam wyświadczyć mu przysługę.

– I to wszystko? – Rosie pytająco uniosła brwi.

– Tak, po prostu się przyjaźnimy. Oboje tak wolimy.

– Naprawdę? – W głosie Rosie zabrzmiało zdziwienie. Liz postanowiła wszystko jej wyjaśnić i sięgnęła po pierwszy z brzegu, jak jej się wydawało doskonały, przykład.

– Tak, my się tylko przyjaźnimy. Joe ostatnio zasnął u mnie w domu przed telewizorem. To chyba najlepszy dowód.

Rosie aż usiadła z wrażenia; na jej twarzy odmalowało się ogromne zdziwienie.

– On... zasnął?

– Tak. Na mojej kanapie.

– Nie wierzę. – Rosie pokręciła głową.

– Naprawdę.

Liz przełknęła ślinę.

– I możesz mi wierzyć, że wcale mnie tym nie uraził – skłamała.

– Zasnął ot, tak sobie, na kanapie? – dociekała Rosie.

Liz postanowiła bronić honoru swego gościa.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Przyszedł, żeby mi zmontować biurko. To bardzo długo trwało, nawet się nie spodziewałam. Joe też chyba nie, bardzo się zmęczył i...

Rosie wpadła jej w słowo, – Czy wiesz, że on od lat cierpi na bezsenność?

– Nie.

– To się zaczęło dawno temu. Już podczas studiów próbował się leczyć, ale bez rezultatu. Nic ci o tym nie wspominał?

Liz pokręciła głową. Joe nigdy o tym nie mówił. Teraz zaczynała rozumieć, dlaczego o świcie pojawiał się w pracy.

– Wcale o tym nie wiedziałam. Ale to chyba najlepszy dowód na to, że tylko się przyjaźnimy. Zasnął sobie spokojnie jak u kumpla.

Rosie uważnie spojrzała jej w oczy.

– Zupełnie przeciwnie. Czuł się z tobą tak cudownie i bezpiecznie, że zapadł w spokojny sen. To jest znak, Liz.

– Znak czego? Chyba po prostu ogromnego zmęczenia spowodowanego chroniczną bezsennością, porannym wstawaniem i pracą. Nie widzę w tym nic innego.

Rosie zrobiła tajemniczą minę.

– To jest znak, że wy dwoje... no, wiesz.

– Wcale nie – energicznie zaprzeczyła Liz.

– A dlaczego tak się chętnie podjął montażu tego biurka?

– Może lubi majsterkować... – zaryzykowała Liz. Rosie prychnęła śmiechem.

– Joe? Nigdy w życiu nawet nie bawił się klockami! Nienawidził tego!

Liz zmarszczyła brwi.

– W takim razie należy do osób, które lubią pomagać innym.

A bezsenność tłumaczy fakt, że przychodzi na swój dyżur nawet w środku nocy. Rosie osłupiała.

– Co takiego?

– Bierze udział w naszym programie dotyczącym nowo

narodzonych dzieci.

– Joe bardzo lubi zajmować się dziećmi, ale nie wiedziałam, że przychodzi w tym celu do szpitala.

Liz zaczynała coś rozumieć.

– Nigdy ci nie wspominał, że zgłosił się do nas jako wolontariusz?

– Nie, nie powiedział o tym nikomu z rodziny.

Liz zamyśliła się. Nikomu o tym nie mówił? A przecież jej wyjaśnił, że robi to dla dobra rodzinnej firmy, żeby ułatwić życie pracownikom...

Poczuła, jak narasta w niej gniew. Wszystko, co dotyczyło tego mężczyzny, było takie skomplikowane i niejasne. Dopiero co przekonała się, że mówił prawdę, jeśli chodzi o kontakty z kobietami, a już pojawia się nowa zagadka, nowa tajemnica. Jak mógł nie poinformować rodziny, że bierze udział w programie, który ma mu pomóc w pracy zawodowej? Dlaczego to przed nimi ukrył? A może, przeciwnie, znowu ukrył coś przed nią...

Rosie poruszyła się i Liz powoli przeniosła na nią zamyślane spojrzenie.

– Wiesz, co myślę... – zaczęła Rosie. – Ja myślę, że ta jego praca tutaj też ma coś wspólnego z tobą.

Liz poczuła dojmujący chłód, który zapowiadał przerażenie.

– Ze mną?

Ściana lodu powiększyła się i szczelnie odgrodziła ją od świata. Joe stał za tą ścianą i dobijał się do niej, ale Liz nie chciała tego widzieć. Nie dopuści go do siebie, nie pozwoli, żeby jego pocałunki roztopiły lodową tafłę. Joe złamie jej serce i ona będzie cierpieć tak samo jak jej matka. Głos Rosie doszedł do niej z bardzo daleka.

– Wiesz, on zwrócił na ciebie uwagę już wtedy, kiedy rodziłam tu po raz pierwszy. – Zerknęła na trzymane w ramionach dziecko. – A teraz ja mam drugiego syna, a mój brat, jak słyszę, ma jakieś sekrety związane z tobą.

– Ze mną nie ma żadnych sekretów. – Liz wzruszyła ramionami, siląc się na obojętność.

– Coś ci powiem – zaczęła Rosie wesoło. – Zdecyduj się, jak to z wami jest. Nie chciałabym musieć rodzić po raz trzeci, żeby się tego dowiedzieć.

Mimo całego stresu Liz musiała się roześmiać. Zabrzmiało to bardzo zabawnie, a Rosie potrafiła człowieka wprowadzić w dobry humor. Jej brat zresztą też.

– Rosie, wierz mi, nie mam się na co decydować. Miedzy nami nic nie ma. Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko.

Rosie zmrużyła jedno oko.

– Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę, że jak ktoś mówi „wierz mi”, to znaczy, że coś ukrywa. Świetnie znam mojego brata i jego

numery, ale jednego jestem pewna: to bardzo dobry chłopak.

Wnioski nasuwały się same. Rosie nie miała powodu, żeby kłamać w sprawie bezsenności brata ani udawać, że nie wie o jego pracy w szpitalu. A to znaczy tylko jedno. ‘

Joe naprawdę jest wspaniałym człowiekiem i Liz nie ma się do czego przyczepić. Co z kolei oznacza, że sprawa jest poważna i mogą być problemy.

Zawsze myślała, że zaufanie jest podstawą stosunków między ludźmi, a gdy się kogoś lubi, trzeba mu jednocześnie ufać’. Czuła do brata Rosie coś więcej niż sympatię i właśnie dowiedziała się, że nie ma najmniejszych powodów, by go podejrzewać o brak szczerości. Musiała z tym coś zrobić, tylko zupełnie nie wiedziała co.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Dawno, dawno temu była sobie pewna dziewczynka. Nazywano ją Kopciuszkiem.

Słyszając dźwięk znajomego kobiecego głosu, Joe zajrzał do sali noworodków. Dopiero co widział się z Rosie, która rano opuściła szpital i razem ze Steve'em świętowała właśnie uroczysty powrót do domu.

Liz siedziała na bujanym fotelu z maleńką dziewczynką w ramionach. Przemądrzała mina wszechwiedzącej pielęgniarki gdzieś zniknęła, a jej miejsce zajęła tkliwość. Joe nie znał takiej Liz: wzruszonej, czulej i opiekuńczej. W jego obecności nigdy nie przybierała takiego wyrazu twarzy. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał, bardzo mu się podobała, ale teraz wyglądała wręcz przepięknie.

Może dlatego, że zawsze spuszczała oczy. Jak wszyscy ludzie Liz stanowiła produkt swego środowiska. W dzieciństwie na przykładzie własnego ojca nauczyła się, że mężczyźni to dranie i teraz żadnemu nie wierzyła. Joe zapragnął nagle wziąć ją w ramiona i osłonić przed całym światem, tak żeby nikt nigdy nie mógł jej już zranić.

Poczuł, że ma nową misję do spełnienia: przekonają, że nie

wszyscy mężczyźni są tacy jak jej ojciec, że są także inni, poważni i odpowiedzialni, i że on do nich należy.

Delikatna twarz Liz pochyliła się nad dzieckiem.

– Kopciuszek miał bardzo ciężkie życie. Dokuczały jej macocha i jej dwie niedobre córki. Dziewczynka ciężko pracowała i nieraz była smutna, ale wiedziała, że kiedyś, pewnego dnia wszystko się odmieni.

Joe stał bez ruchu, bojąc się ją spłoszyć. Wiedział, że lada hałas gotów jest sprawić, że cudowne zjawisko zniknie. Czekał do momentu, gdy pojawił się szlachetny książę, Kopciuszek przymierzył szklany pantofelek, a potem „żyli długo i szczęśliwie”.

Liz uśmiechnęła się do maleństwa.

– Podobało ci się?

Mała buzia wykrzywiła się w podkówkę.

– To dlatego, że jesteś jeszcze za mała – ciągnęła Liz – i nie bardzo rozumiałaś. Wszystko dobrze się skończyło. Kopciuszek zamieszkał w wielkim zamku ze swoim ukochanym księciem i na zawsze zostali razem. Tak to bywa. Tylko ze mną jest inaczej... Moje marzenia nigdy się nie spełnią. Ale ty na pewno będziesz bardzo szczęśliwa, wszystko jeszcze przed tobą. Możesz zrobić, co zechcesz.

Skąd ta pewność, że jej marzenia się nie spełnią? Co stoi na

przeszkodzie? Jeśli tylko wyzbędzie się nieufności, może mieć wspaniałe życie. Na pewno byłaby cudowną matką, to widać, i doskonałą żoną. Facet, który się na niej pozna i przekona ją do siebie, wygra los na loterii.

Gdyby nie te nieszczęsne przykłady dokoła, Joe na pewno by spróbował. Ale nie chce ryzykować. Szkoda, że nie wiadomo, jaki jest dalszy ciąg tej bajki. Kopciuszek przenosi się do pałacu i zaczyna wieść wspólne życie ze swym księciem. Mijają lata, a książęca para zaczyna się kłócić. Konflikt pogłębia się i księżna zaczyna manipulować dziećmi, by wycisnąć z księcia jak największe alimenty; trwa rozprawa za rozprawą, kłócą się, komu ma przypaść zamek. Bajka się kończy, zaczyna życie.

Nie, nie, on nigdy się nie ożeni. Nie ma to jak kawalerskie życie. Co prawda, kiedy poznał Liz, pojawiło się pytanie: „A gdyby tak?”, ale to pewnie tylko dlatego, że Liz jest jedyną kobietą, która nie zwraca na niego uwagi. To znaczy, może jednak trochę zwraca... A dlaczego on tak nagle zapragnął przekonać ją, że bywają też przyzwoici faceci? Trzeba sobie powiedzieć szczerze, że nigdy dotąd żadna kobieta tak go nie zafascynowała.

Liz uniosła głowę i spostrzegła go.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś – powiedziała speszona.

– Nie chciałem przerywać bajki... Ciemne oczy Liz zrobiły się jeszcze większe.

– Siadam sobie tak od czasu do czasu – wyjaśniła – kiedy nie mam nic konkretnego do zrobienia. To cudowne tulić tak do siebie takie małe, ciepłe ciało.

– Doskonale to rozumiem.

Ich spojrzenia spotkały się i zapadła głęboka cisza. Oboje wiedzieli, że znaleźli się nagle w jakimś innym wymiarze, poza czasem i przestrzenią, gdzie oddycha się krystalicznym powietrzem i gdzie panuje czysta, niczym nie skażona prawda.

Liz pierwsza odwróciła wzrok. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy martwić tym, że magiczny moment już przeminął. Joe zaś czuł, że niczego nie wolno przyspieszać. Nagłe pojął, że w Liz najbardziej mu się podoba to, że ona – podobnie jak on sam – nie dąży do zmiany charakteru ich znajomości. Przy niej czuł się bezpiecznie i bardzo mu to odpowiadało.

– Ładna bajka – rzekł półgłosem.

– Nie wiem, chyba trochę głupia, ale bardzo sympatyczna.

A ta mała dziewczynka ma za sobą ciężkie przeżycia. Jeszcze tak niedawno tkwiła sobie spokojnie w zaciszu i ciepłe brzuszka mamy, a potem nagle coś ją popchnęło i wyciągnęło brutalnie na zimny, nieprzyjazny świat. Chciałam jej jakoś osłodzić to przykre doznanie.

– I chyba ci się udało.

– Patrzy na mnie takimi wielkimi, ufnymi oczami, jakby

chciała zapytać: Co teraz chcecie ze mną zrobić?

– W twoich ramionach jest bezpieczna. Chyba że się pojawi wielki, czarny wilk...

– Mamy sposoby i na wielkiego, czarnego wilka. Ale a propos, co ty tu robisz o tej porze, Joe?

To właśnie w niej lubił. Poczucie humoru i rzeczowość.

– Nie widziałam twojego nazwiska na dzisiejszym grafiku. Z taką kobietą można by spędzić życie...

– Ostatnio bywałem tu często poza dyżurami z powodu Rosie i małego. A ponieważ pewna siostra, której imienia nie wspomnę, bardzo jest czuła na regulaminowe załatwianie spraw, wpadłem teraz, żeby jej uroczyście oświadczyć, że matka i dziecko już są w domu i oboje czują się znakomicie.

Liz wybuchnęła śmiechem.

– Kto by pomyślał, że tak się szybko uczysz.

– Ogólnie jestem zdolny. Twarz Liz spoważniała.

– Czy ty w ogóle masz jakieś wady? Joe spoważniał również.

– Jak dotąd śledziłaś je bardzo dokładnie.

– I za każdym razem się myliłam. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że cierpisz na bezsenność?

Joe wzruszył ramionami.

– Jak widzę, ktoś w rodzinie ma za długi język. Skąd ci coś podobnego przyszło do głowy?

– Twoja siostra mi powiedziała, że przez całe życie miałeś z tym problemy. Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałeś?

– Po pierwsze, Rosie lubi dramatyzować. Nie ma w tym nic strasznego. Po drugie, trudno, żeby facet, który chce zrobić wrażenie na kobiecie, mówił jej na wstępie coś takiego.

Zdał sobie sprawę, że tak właśnie jest. Spojrzał na zaczerwienioną nagle twarz Liz i poczuł się jakoś dziwnie. Liz przez chwilę milczała, bujając się z dzieckiem na fotelu.

– Bezsensowność wiele tłumaczy – odezwała się powoli. – Wiem już, dlaczego zjawiasz się tu w środku nocy i dlaczego zasnąłeś u mnie przed telewizorem.

Tego ostatniego akurat nic nie tłumaczyło. Nie miał pojęcia, z jakiego powodu zasnął u niej na kanapie jak niemowlę. On, który w swoim wygodnym łóżu całe noce przewracał się z boku na bok. Do tego przecież bardzo ją lubił. Przepadał za tą dziewczyną, która noworodkom opowiadała bajki, żeby je oswoić z wrogim światem. Ktoś taki może być dla niego bardzo groźny, jeśli mu na to pozwoli. Ale on nie ma zamiaru jej na to pozwolić. Na szczęście, żadne z nich nie szuka partnera na całe życie.

– Bardzo mi przykro, że wtedy tak zasnąłem – rzekł swobodnym tonem. – To zupełnie niezwykle i trudne do wytłumaczenia zjawisko, podobne do tego, że kilkudniowa bezbronna istotka potrafi trzymać w szachu kilka dorosłych osób.

– Skoro tak mówisz...

– Tak właśnie myślę.

– Opowiedz mi coś więcej o swoich wadach. – Liz wyprostowała się i szybko sięgnęła do kieszeni. – Mój pager, wołają mnie.

Joe zwrócił ku niej głowę.

– Nie masz nic przeciwko temu, że jedziemy do mnie? Mam nadzieję, że ci się spodoba moje mieszkanie.

– Zaryzykuję. Zresztą jestem ciekawa, jak wygląda jaskinia playboya.

Straciła już nadzieję, że przyłapie go na czymś, co pozwoli jej myśleć o nim źle bez wyrzutów sumienia i dlatego właśnie za wszelką cenę starała się utrzymać żartobliwy ton.

Położyła dziewczynkę do łóżeczka i po raz ostatni spojrzała na nią z czułością.

– Kiedy kończysz pracę? – zapytał Joe. Spojrzała na zegarek.

– Za godzinę.

– W takim razie zapraszam cię do siebie na kolację. Znam miejsce, gdzie dają na wynos najlepsze włoskie jedzenie w mieście.

– Myślę, że...

Joe przerwał jej bezceremonialnie:

– Chcesz usłyszeć kompletną listę moich wad czy nie? Liz uśmiechnęła się.

– Ty to potrafisz przekonać dziewczynę.

– Jestem w tym zawodowcem. Dyrektor od spraw personalnych, do usług szanownej pani.

– W takim razie widzimy się – za godzinę. Joe podniósł rękę jak do przysięgi.

– Słowo honoru, że się nie zawiedziesz. Mam wspaniały katalog wad. Są tam małe, duże i średnie, do wyboru.

Pokręciła głową z udanym oburzeniem.

– Wyobrażam sobie...

Opuścili szpitalny parking i jechali sportowym samochodem Joego na drugi koniec miasta.

– Nie chciałbym cię rozczarować, ale mieszkam dość zwyczajnie. – Tym razem nie spojrzał na nią znad kierownicy.

– Postaram się to jakoś znieść. – Wciągnęła w nozdrza powietrze: z toreb zgromadzonych w samochodzie rozchodził się cudowny zapach. – Zresztą – dodała – jeśli to smakuje tak wybornie, jak pachnie, nie rozczaruję się na pewno.

– Któż by przypuszczał, że wystarczy dobry włoski makaron, sos marinara i szczypta czosnku, żeby cię usatysfakcjonować...

Skrecił, skierował się w stronę wzgórz wznoszących się nad doliną San Fernando, zajechał przed kompleks budynków i

zaparkował.

– Jesteśmy na miejscu.

Wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi od strony pasażera. Pomógł Liz wysiąść. Starła się ukryć drżenie swojej ręki, ale chyba niezbyt skutecznie. Jego ciepły dotyk podziałał na nią jak impuls elektryczny. Poczowała dreszcz przebiegający po plecach i pomyślała, że źle zrobiła, przyjmując jego zaproszenie. Potem jednak przypomniała sobie, że postanowiła przecież ostatecznie sobie dowieść, że Joe Marchetti wcale nie jest taki kryształowy i – że podobny eksperyment może jej dostarczyć argumentów przeciwko niemu.

Poszli do mieszkania i Joe otworzył drzwi. Zapalił światło i jasność zalała przestronny salon. W jego jadalnej części stał stół ze szklanym blatem, ogromne okna wychodziły na dolinę, meble były nowoczesne i lekko ekstrawaganckie. Przemknęło jej przez głowę, że właścicielowi tego wszystkiego jej dom musiał się wydać skromny i ubogi.

– Na razie nic nie mogę powiedzieć – odezwała się, widząc jego pytające spojrzenie – prócz tego, że mam przed sobą luksusową garsonierę mężczyzny o bliżej nieokreślonym charakterze.

Ujął ją za rękę i pociągnął w stronę kuchni.

– Chodź, trzeba się wziąć do roboty. Na kolację mamy

makaron, sałatkę, masło czosnkowe według mojej receptury, i listę wad. Trzeba to wszystko jakoś skomponować.

Kuchnia była połączona z jadalnią i pokojem do wszystkiego. Liz nareszcie spokojnie mogła się do czegoś przyczepić. Na kanapie w rogu piętrzyły się swetry, koszule i krawaty; krzesła były zavalone gazetami; ze zlewu wystawały brudne patelnie.

– Ale tu nieporządek – stwierdziła z zadowoleniem. – Kto by przypuszczał, że z ciebie taki bałaganiarz.

Joe ze stoickim spokojem ustawił torby z jedzeniem na blacie i sięgnął do szafki po talerze.

– W ten sposób nieumyślnie powiedziałaś mi komplement – stwierdził z lekką satysfakcją.

– Jak to?

– To przecież oznacza, że skoro dotąd tego nie spostrzegłaś, to doskonale potrafię to ukryć.

Roześmiała się, a Joe zaczął myszkować w torbach. Wyjął pojemnik z sałatką i postawił go przed sobą, dołożył widelce i noże.

– Jednym słowem, doskonale się maskujesz... Spojrzał na nią.

– Każdy dorosły człowiek to robi.

– Owszem. Uśmiechnął się.

– Mam za to kogoś, kto za mnie sprząta.

– Służącą?

– To bardzo źle?

Liz zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Nie, źle jest, że sam po sobie nie sprzątasz, ale to, że w nieporządku dostrzegasz coś niewłaściwego i starasz się temu jakoś zaradzić, nieco zmniejsza ten defekt.

Nalał wina do kieliszków i nałożył na talerze makaron.

– Obiad podano.

Otworzył lodówkę i wyjął niewielki pojemniczek.

– Co jeszcze? – spytała ciekawie Liz.

– Obowiązkowo świeżo utarty parmezan. Smakowity zapach potraw wypełnił kuchnię.

– Twoje zdolności kulinarne trzeba ci zapisać na plus – oświadczyła łaskawie.

– Co za ulga... – Usiadł naprzeciwko niej i uniósł kieliszek. – Proponuję, żebyśmy wznieśli toast.

Liz sięgnęła po swój kieliszek.

– Jaki?

– Wypijmy za mojego siostrzeńca i za całą rodzinę. Tręcili się kieliszkami.

– Zdrowie Josepha Stevena Schafera i jego rodziny.

Nie zdziwiło jej, że w takiej chwili przede wszystkim pomyślał o rodzinie. Wiedziała, że bardzo się przejmuje losem Rosie i braci, że najmłodsze dziecko siostry i mający wkrótce nastąpić ślub

brata są dla niego najważniejsze. Nie miała wątpliwości, że nie udaje przed nią takiego szlachetnego i rodzinnego; Joe po prostu taki jest. Tym bardziej zastanawiające, dlaczego ją do siebie zaprosił; co ona właściwie tutaj robi?

– Na co czekasz? – spytał, wyrywając ją z zamyślenia. Przez chwilę jedli w milczeniu. Potem Liz uniosła oczy znad talerza.

– A mówiąc serio, jakie ty naprawdę masz wady? Dotąd, jak rozumiem, tylko tak sobie żartowaliśmy.

Zupełnie jakby czekał na jej pytanie.

– Jestem strasznie uparty.

– Uważasz, że to wada?

– To cecha, która w niektórych przypadkach może utrudnić właściwe rozeznanie sytuacji.

Wyraźnie chciał coś dodać, lecz nie wiedział jak.

– Sądysz, że to cię jakoś ogranicza? – próbowała mu pomóc Liz.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie o to chodzi, po prostu stwierdzam, że mam taką cechę i że nie zawsze uważam, że to dobre. A ty? Co byś powiedziała na swój temat?

– Ja jestem... sceptyczna. – Liz również nie wahała się długo. – Jestem bardzo sceptyczna.

– A dokładniej?

– Nieraz się tym upajam i jestem nawet z tego dumna. Wiem, że to niezbyt mądre, ale tak mnie nauczyło życie. Wszyscy do pewnego stopnia jesteśmy wytworami okoliczności.

– Musi być sposób, żeby się od tego wyzwolić. Na pewno można coś zrobić, żebyś zaczęła oceniać mężczyzn nie tylko przez pryzmat tego, co zrobił twój ojciec.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wszyscy mężczyźni są cynicznymi oszustami, którzy pragną tylko dopiąć swego. – W jego głosie zabrzmiał gniew, w oczach pojawiły się światełka.

– Domyślam się, co chcesz powiedzieć. – Liz odłożyła widelec i lekko pochyliła się w jego stronę. – Powinnam znaleźć siłę w tym, co przeszłam w dzieciństwie. Rany bolą, ale kiedy się zablżnią, skóra w tym miejscu staje się grubsza i bardziej odporna, i tak dalej. Znam tę piosenkę. Joe pokręcił głową.

– Nic podobnego. Zawsze uważałem i uważam, że dzieci nie powinny mieć żadnych złych doświadczeń i że powinno się robić wszystko, żeby je uchronić przed złymi stronami życia jak długo się da.

Liz wytarła serwetką kąciki ust.

– To nie chodzi tylko o dzieciństwo. – Napotkała jego pytające spojrzenie i mówiła dalej: – I nie tylko o mojego ojca. Kiedyś, dawno temu, miałam narzeczonego. Zajmował się sprzedażą

leków, był przystojny, miły, taki typowy amerykański chłopak. Uważałam, że do tego jest uczciwy.

– A nie był?

Zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź, jakby od tego zależało jego życie. Liz nie pamiętała, żeby kiedykolwiek ktoś tak bardzo przejmował się jej losem. Zwłaszcza mężczyzna. Nikt nigdy nie stał obok niej, gotów walczyć w jej obronie lub też razem z nią podjąć walkę o wspólną sprawę. Zrozumiała, że podwaliny czystej przyjaźni chwieją się niebezpiecznie.

– Okazało się, że równocześnie spotyka się z kimś innym – rzekła oględnie.

– Bardzo mi przykro i bardzo ci współczuję. Powiedział to tak szczerze, że postanowiła coś dodać.

– To się wydarzyło dwa lata temu, już o tym nie myślę. Tylko mój sceptycyzm od tego jakby się pogłębił.

– Czy od początku byłaś sceptyczna wobec tego chłopaka? Zrozumiała, co Joe sugeruje.

– Sądzisz, że to przez moją podejrzliwość znalazł sobie kogoś innego? Było mu ze mną zbyt ciężko?

Joe wzruszył ramionami.

– Trafiłaś na łobuza, to wszystko. I lepiej, że w porę z nim skończyłaś.

Uśmiechnęła się.

– Bardzo dyplomatyczny komentarz, panie dyrektorze.

– Dziękuję.

– A teraz, kiedy ci już zdradziłam mój największy sekret, powiedz mi jeszcze coś o sobie.

Spojrzał na nią z powagą.

– Dąsam się o byle co, nie znoszę szpinaku i lubię zaczynać posiłek od deseru.

Liz przybrała surowy wyraz twarzy.

– Brzydki chłopiec.

– Mama mówi, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Bardzo lubiła tak się z nim przekomarzać. W ogóle bardzo lubiła z nim przebywać. Może nawet za bardzo. I jakoś nie mogła się w nim dopatrzeć żadnej wady. Miała ochotę ująć jego twarz w dłonie i do utraty tchu całować go w usta. Chciała, by on wziął ją w ramiona i tulił, strzegąc od wszelkiego zła.

Dlatego właśnie należało natychmiast z tym skończyć, żeby nie popełnić błędu. Poderwała się od stołu, złapała brudne talerze i wstawiła je do zlewu. Otworzyła zmywarę.

Joe w sekundę znalazł się przy niej. Ujrzała pytanie w jego ciemnych oczach i poczuła, że ma ochotę płakać.

– O co chodzi? – zapytał. – Co się stało?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak mu powiedzieć, że chodzi o całowanie? I że jest jej strasznie ciężko tak stale zmagać się z pokusą, by go objąć i mocno do siebie przytulić... Stop. Tego jej zrobić nie wolno, bo potem nie będzie już odwrotu. A wszystko dlatego, że Joe okazał się inny, niż sądziła – jest po prostu porządnym człowiekiem.

Robiła, co mogła, by znaleźć w nim jakąś skazę, by móc go zaszeregować i wykreślić ze swojego życia, i nie udało się. Stała twarzą w twarz z faktem, że ma przed sobą mężczyznę, któremu nic nie można zarzucić i któremu wypada dać szansę. Jaką szansę? Co jej przychodzi do głowy? Nikomu nie zamierza dawać szansy, bo nie chce, żeby ktoś znowu ją zranił.

– Jestem trochę zmęczona – mruknęła, patrząc w jego ciemne, pytające oczy. Zabrzmiało to prawdopodobnie, bo czuła się naprawdę wykończona. – Okropnie mi to zaczęło ciążyć – wyznała szczerze. – Tak jakoś się porobiło, że czuję się winna i w ogóle.

Jego usta zadrgały, jakby siłą powstrzymywał śmiech.

– Czujesz się winna? I w ogóle? Liz energicznie skinęła głową.

– Tak. Od pierwszej chwili nic tylko się myliłam. Mam na myśli ciebie. A teraz muszę przyznać, że jesteś najbardziej

uczciwym facetem, jakiego w życiu spotkałam. ‘

Joe z komiczną powagą położył jej dłoń na czole, jakby sprawdzał, czy ma gorączkę.

– Gdzie się podziała nasza nieoceniona siostra Liz, sceptyczna i podejrzliwa? Kim ty właściwie jesteś, dziewczynko? – Cofnął się z udanym przestachem. – Nie wiem, co powiedzieć.

Liz uśmiechnęła się.

– A przecież jesteś tak bardzo wygadany. Przynajmniej do tej pory zawsze miałeś ostatnie słowo.

– Ale nie tym razem.

– Pod każdym względem jesteś wyjątkowy. Lubisz dzieci, rozumiesz je, potrafisz się zająć rodzącą siostrą, której mąż właśnie wyjechał, jesteś miły dla matki... Co jeszcze?

– Nie jestem święty – zapewnił ją pospiesznie.

– Na szczęście. – Skrzyżowała ręce na piersi i ciągnęła: – W każdym razie nie jesteś takim zimnym draniem, za którego cię miałam. Za to właśnie chciałam cię przeprosić. – Zamilkła na chwilę. – Bardzo się cieszę, że mogę cię zaliczyć do grona swoich przyjaciół.

Joe zmarszczył brwi.

– Przyjaciół?

– Tak. – Skinęła głową. – Możesz mi wierzyć, że to nie lada zaszczyt. Nigdy dotąd nie miałam przyjaciela, to mi się wydawało

zbyt trudne. Teraz wszystko jest inaczej, ty się nadajesz.

– Bardzo dziękuję. – Nie wydawał się zachwycony jej propozycją, ale jej nie skomentował.

Liz postanowiła nie przedłużać rozmowy.

– A teraz, przyjacielu, muszę już wracać do domu.

Im prędzej, tym lepiej; powinna wyjść natychmiast, zanim któreś z nich pogwałci święte prawa przyjaźni i zrobi coś, co znowu wszystko skomplikuje. Myliła się w stosunku do tego mężczyzny; myliła się bez przerwy, ale – teraz nie popełni już kolejnej pomyłki i zachowa sobie jego przyjaźń. A z przyjaźnią kogoś takiego jak on trzeba uważać... I przede wszystkim nie pozwolić się całować. To byłby największy błąd, błąd nie do naprawienia.

– Odwiesz mnie do mojego samochodu? – zapytała z pozorną beztroską.

– Jasne. Od tego właśnie ma się przyjaciół.

W jego głosie zabrzmiał smutek i rozczarowanie, lecz Liz wolała nie dociekać, z jakiego powodu.

Dlaczego z takim uporem podkreślała przyjacielski charakter ich znajomości? Joe próbował coś z tym zrobić, ale nie wiedział co. Zbliżający się ślub Nicka powitał jako świetną okazję: cóż bardziej romantycznego niż ukwiecony ogród, młoda para i zgromadzona wokół szczęśliwa rodzina?

W uroczystym dniu zebrali się dumnie w posiadłości Marchettich. Nick i jego pierwszy przyjaciel, Steve Schafer, Luke i Alex – wszyscy w przepiśnionych czarnych smokingach.

Joe spojrział znacząco na starszego brata.

– Masz jeszcze czas, stary. Możesz się wycofać. Pan miody uśmiechnął się lekko.

– Nigdy w życiu. Dość się naczekałem. Nic mi nie przeszkodzi, żeby dzisiaj poślubić moją Abby. Już teraz możesz ją nazywać panią Marchetti.

Joe automatycznie poszukał wzrokiem Liz. Ich poprzednie spotkanie zakończyła z taką determinacją, że bał się, iż może nie zechce uczestniczyć w dzisiejszej ceremonii. Gdy jednak przyszła, odetchnął z ulgą, widząc w tym cień nadziei i dziwiąc się równocześnie, dlaczego tak bardzo zależy mu na jej obecności.

Rozległy się dźwięki weselnego marsza i goście zajęli miejsca. Abby w długiej białej sukni z trenem ruszyła przed siebie, smukła i piękna niczym wróżka. Towarzyszyła jej siostra, Sarah, i adwokat rodziny Marchettich, Madison Wainwright. Joe w przelocie zauważył spojrzenie, jakim jego młodszy brat Luke obrzucił córkę mecenasa. Ciekawe, pomyślał, czyżby ten też...

Nie mógł się jednak długo zastanawiać nad stanem hormonów młodszego brata, bo rozpoczęła się uroczysta ceremonia. Twarz Liz pojawiła się przed nim niczym obraz wywołany z pamięci,

który nagle okazuje się rzeczywistością. W spojrzeniu, jakim Liz obdarzała pannę młodą, była jakaś dziwna błogość. Tak właśnie wygląda rozanielenie, przemknęło mu przez głowę i ten staroświecki wyraz nabrał nagle bardzo głębokiego znaczenia.

Sama Liz wyglądała nadzwyczajnie. Nigdy dotąd nie widział jej wytwornie ubranej i musiał przyznać, że w zielonkawej garsonce, której kolor wydobywał brąz jej oczu, Liz biła na głowę wszystkie obecne na uroczystości panie. Włosy zaczesła na bok i spięła srebrną spinką, co wyglądało bardzo seksownie. Joe dopiero po chwili zadał sobie pytanie, co też może być seksownego w odsłonięciu fragmentu skroni i ucha i natychmiast sobie na nie odpowiedział: w Liz wszystko jest seksowne, bo wszystko go pociąga.

Gdyby tak podszedł i pocałował ją?

Nie, nie zrobi tego. Na początku oczywiście byłoby cudownie, ale potem... Potem zaczęłyby się konflikty, wszelkiego rodzaju nieporozumienia; słowem – koszmar.

Głos pastora dobiegł go z bardzo daleka. , – Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie? ‘ Tom Marchetti uśmiechnął się do przyszłej synowej.

– W imieniu jej rodziców czynię to ja i moja żona – odparł z powagą, po czym delikatnie uniósł białą woalkę kryjącą twarz panny młodej i pocałował ją w policzek. – Byłaś dla nas córką,

Abby, i teraz jesteśmy bardzo szczęśliwi, że naszemu najstarszemu synowi starczyło roztropności, żeby uczynić z ciebie swoją żonę. Odtąd, córeczko, również wobec prawa będziesz członkiem naszej rodziny. Panią Marchetti.

Joe siłą powstrzymał się, żeby nie spojrzeć na Liz. Gdyby teraz ich oczy spotkały się, mógłby jej powiedzieć więcej, niż chciał, więcej, niż sam wiedział.

Tom Marchetti ujął dłoń panny młodej i połączył ją z dłonią swojego pierworodnego. Nick spojrzał na Abby i jego spojrzenie powiedziało wszystko. Joe pomodlił się w duchu za szczęście brata, gorąco życząc mu, by zachował je na zawsze, wbrew losowi i statystyce.

Pastor otworzył trzymaną w ręku księgę. W pachnące kwiatami powietrze popłynęły słowa o miłości, wierności i wytrwałości. Liz pewnie jest zachwycona. Zwłaszcza kiedy słyszy ten kawałek o śmierci, która jako jedyna może rozłączyć to, co Bóg złączył. Na chwilę odbiegł myślami gdzieś daleko, ale głos pastora znowu ściągnął go na ziemię.

– Nicholasie Marchetti, czy bierzesz za żonę tę oto kobietę?

– Tak.

– A ty, Abigail Ridgeway, czy bierzesz sobie za męża tego oto mężczyznę?

– Tak.

– Ogłaszam zatem, że odtąd jesteście mężem i żoną wobec Boga i ludzi. Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza. A teraz, Nick, możesz pocałować pannę młodą.

Nick uniósł woalkę i śliczna buzia Abby ukazała się w całej krasie.

– Pani Marchetti... – szepnął.

Pocałunek młodej pary przerwały dopiero śmiechy i wiwaty. Zwrócili ku gościom zaczerwienione twarze. Pastor dokonał prezentacji:

– Oto, proszę państwa, pan i pani Marchetti.

Młoda para ruszyła w stronę gości. Joe podał rękę druźnie panny młodej, Sarah. Zanim dotarł do Liz, fotograf zaczął robić zdjęcia. Wszyscy członkowie rodziny ustawiali się obok Nicka i Abby, by się uwiecznić w tym tak uroczystym dniu. Orkiestra zaczęła grać, kilka par zawirowało na parkiecie. W atmosferze było coś niezwykłego i baśniowego.

Liz znalazł pogrążoną w rozmowie z Alexem i Lukiem. Stała uśmiechnięta i odprężona, najwyraźniej zadowolona z towarzystwa jego braci. Jego dwóch młodszych braci. Kawalerów tak jak on. Dlaczego go to złości? Przecież sam ich prosił, żeby się nią zajęli.

Nagle zrozumiał powód swego niezadowolenia. Liz doskonale się z nimi czuła. Wcale jej nie przeszkadzało, że prawie się nie

znają. Zupełnie jakby była czujna i podejrzliwa tylko wobec jednego mężczyzny, wobec niego. Musiał się nieźle napracować, zanim ją przekonał, że nie jest łajdakiem, a jego bracia zdobyli jej zaufanie od razu, bez zbędnych pytań i dowodów. Może przyszła tutaj tylko dlatego, że lubi jego rodzinę i dobrze się z nimi czuje? Może rodzina Marchettich przyciąga ją bardziej niż on sam?

Rany, przecież ja jestem zazdrosny o własną rodzinę, pomyślał i poczuł, jak cierpnie na nim skóra.

Nie zauważył, że matka stanęła tuż obok.

– Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi – szepnęła zagadkowo.

Odwrócił się ku niej gwałtownie.

– Co takiego?

~ Na twoim miejscu miałabym się na baczności przed Alexem.

Joe wzruszył ramionami.

– Dlaczego akurat przed Alexem? A Luke? To on zawsze był rodzinnym podrywaczem.

Flo przecząco pokręciła głową.

– O ile się nie mylę, a w sprawach sercowych mylę się niezwykle rzadko, Luke ma zupełnie co innego na głowie. To znaczy to samo, ale w odniesieniu do zupełnie innej osoby.

Joe obrzucił wzrokiem roześmianą trójkę.

– Mam nadzieję, że się mylisz, a osoba wcale w tym przypadku

nie jest ważna – skłamał gładko. – Najważniejsze, żeby wcale się nie zakochał. W nikim.

Matka skrzywiła się i spojrzała na niego z niesmakiem.

– Nic się u ciebie nie zmieniło? Stale jesteś takim zagorzałym starym kawalerem? Myślałam, że kiedy poznałeś Liz i przyprowadziłeś ją na urodziny mojej wnuczki, i teraz na ślub Nicka, nieco zmądrzałeś.

– Nie widzę powodu, żeby zmienić zdanie – oświadczył pewnym głosem, chociaż w duszy żywił niejaki wątpliwości.

– Teraz, kiedy Nick zdezerterował, ktoś w rodzinie musi trzymać fason i wskazywać właściwą drogę młodszym braciom.

Wiedział, że jeśli teraz okaże chociaż cień słabości, Flo nie popuści i nie da mu spokoju.

– Rozumiem... – rzekła przeciągle. – To pewnie dlatego tak patrzysz na swoich braci, jakbyś im chciał oczy wydrapać. Zepsuli ci randkę.

Joe zachował stoicki spokój.

– Teraz już wiem, po kim Rosie ma tę skłonność do węszenia wszędzie romansów i dramatów.

Flo otworzyła usta, by się odciąć, ale jej nie pozwolił.

– A w kim to niby miał się zakochać Luke? – zapytał, żeby skierować uwagę matki na nieco inne tory.

Flo zrobiła niewinną minę.

– Ja nic takiego nie mówiłam. Wydało mi się tylko, że powinieneś uważać na Alexa, żeby ci nie sprzątnął sprzed nosa Liz. Biedny chłopak chyba kogoś szuka. Nie może się pozbierać po rozstaniu z Beth, a ja nic dla niego nie mogę zrobić.

– Wiem – przytaknął Joe, z radością konstatując, że znaleźli się na bezpiecznym gruncie.

Flo spojrzała na niego znacząco.

– Może byś tak zatańczył z Liz...

– Bardzo chętnie.

To mógł dla mej zrobić, tym bardziej że przy okazji przerwałby tę irytującą pogawędkę.

– Doskonały pomysł, mamó – dodał. Flo poklepała go po ramieniu.

– Polecam się na przyszłość.

Dłużej nie zwlekając, ruszył w stronę, gdzie stali Liz, Alex i Luke.

– Dziękuję wam, chłopaki, że zaopiekowaliście się Liz, kiedy mnie nie było. A teraz chciałbym z nią zatańczyć.

Lekko skłonił się przed Liz i niemal poczuł, jak dziewczyna sztywnieje. Alex uśmiechnął się.

– Nie widzę przeszkód, braciszku. Pójdę zobaczyć, co dzieje się z siostrą panny młodej. Mama prosiła, żebym zajął się Sarah.

Luke przesunął dłonią po włosach.

– Chyba zatańczę z Madison. Może się da uprosić, chociaż mi powiedziała, że tylko tego brakowało, żeby się znowu zakochała w którymś Marchettim. W każdym razie spróbuję, bez tego nigdy się nie przekonam, czy to możliwe.

Bracia zniknęli w tłumie i Joe został z Liz sam na sam.

– Zatańczysz ze mną? – zapytał.

Skinęła głową, jakby trochę zamyślona, patrząc w ślad za jego braćmi.

– Dlaczego on powiedział, że Madison nie chce się zakochać w kolejnym Marchettim?

Joe ujął ją za rękę i poprowadził w stronę parkietu.

– Madison chodziła z Nickiem, zanim poznał Abby. Liz rozejrzała się po tańczących parach.

– Ciekawe, dlaczego w takim razie Abby poprosiła ją, żeby została jej druhną.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Zawsze się lubiły i szanowały, i tak już zostało.

Orkiestra zaczęła grać walca. Joe objął Liz w talii i lekko przytulił. Poczul emanujące z niej napięcie.

– Bardzo pięknie wyglądasz – szepnął.

– Wspomniałeś o tym, jak mnie zabierałeś z domu – rzuciła. – Powiedziałeś mi wtedy wszystkie miłe rzeczy, jakie się zwykle

mówi w takiej sytuacji.

– No to jeszcze coś dodam. Bardzo mi się podobasz w tym uczesaniu.

Liz uśmiechnęła się.

– Dziękuję. A czy ja już ci mówiłam, że wyglądasz bardzo atrakcyjnie?

Joe na komplement zareagował żartem.

– Może po prostu nigdy dotąd nie widziałaś faceta w smokingu. To bardzo poprawia wygląd.

– Bardzo możliwe, co nie zmienia faktu, że ci w nim do twarzy.

– Cieszę się. Zawsze to jakiś postęp.

Skinęła głową i zza jego ramienia spojrzała na mijającą ich w tańcu parę.

– Nick i Abby są tacy szczęśliwi! Widać, jak bardzo się kochają.

– Tak...

Przytulił ją mocniej i poczuła, jak napięcie ostatnich chwil mija. Uniosła rękę z ramienia Joego i lekko dotknęła jego karku. Czowała się teraz lekka i swobodna.

Joe natychmiast to odczuł. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego Liz, spontaniczna i rozluźniona w towarzystwie jego braci, zawsze jest przy nim taka spięta i dopiero po pewnym czasie zaczyna zachowywać się normalnie. A przecież powiedziała, że ma do

niego zaufanie, przyznała, że się myliła. O co w takim razie chodzi? Co jest nie tak?

Siedziała przy stole sama po raz pierwszy od chwili, kiedy Joe przerwał jej rozmowę ze swymi braćmi. Dotąd nie opuszczał jej ani na chwilę, tworząc wokół niej magiczny krąg, którego nikt inny nie śmiał przekroczyć. Nie wiedziała, co o tym myśleć i na wszelki wypadek była przerażona.

Na szczęście wezwały go obowiązki i zostawił ją na jakiś czas. Potrzebowała chwili oddechu. Jego obecność napawała ją strachem, niepokojem i radością. Mieszanka uczuć trudna do zniesienia dla kogoś tak nieprzyzwyczajonego jak Liz... Teraz nareszcie mogła się nieco uspokoić albo chociaż próbować to zrobić. Przygotować się na kolejny atak. Ani przez chwilę nie żałowała jednak, że przyjęła jego zaproszenie. W sumie bawiła się świetnie i zawdzięczała to Joemu.

Nagle sobie uświadomiła, że jest jej z nim po prostu dobrze. Bez względu na sytuację. Dobrze jej z nim kiedy tańczą i kiedy Joe montuje biurko, i gdy razem jedzą obiad albo oglądają film. Z nim zawsze jest jej dobrze.

Z zamyślenia wyrwała ją Flo Marchetti, która usiadła obok niej przy stole.

– Można?

– Oczywiście, bardzo proszę. – Liz uśmiechnęła się do niej i

dodała ściszym głosem. – Jak pani to znosi?

Flo Marchetti wyglądała doskonale. Wysoka i szczupła, miała na sobie długą suknię w kolorze brzoskwini.

– Doskonale, i proszę mów mi po imieniu. A jak ty się bawisz?

– Bardzo dobrze. Nick i Abby byli tacy szczęśliwi, kiedy wyruszyli w poślubną podróż. Miło było na nich patrzeć.

Flo uśmiechnęła się melancholijnie.

– Dzieci zawsze są zadowolone, kiedy opuszczają dom. Taka jest kolej losu. A ty? Naprawdę dobrze się bawisz?

– Jest cudownie – gorąco zapewniła Liz. – Wszyscy są dla mnie bardzo dobrzy.

Pani Marchetti spojrzała na nią z powagą.

– Joe też?

Liz, nieco zbита z tropu, skinęła głową, a jej rozmówczyni ciągnęła:

– Pytam, bo nie lubię owijać w bawełnę. Najpierw myślałam, że wszystko jest w porządku, ale potem przyszło mi do głowy, że zachowujecie się jakoś dziwnie. Czy masz coś przeciwko niemu?

– W jej głosie brzmiała prawdziwa troska i dobra wola.

– Nie. – Liz uśmiechnęła się smutno. – Nie mam nic przeciwko księciu z bajki.

– Tak go nazywasz? – Flo uśmiechnęła się.

– Tylko kiedy mnie nie słyszy.

– Bardzo słusznie. Jeszcze by pękł z dumy, a i tak jest pyszny jak paw.

Liz zapatrzyła się przed siebie.

– Wiem. Zrobiłam sobie spis wszystkich jego wad.

– Dlaczego? – Flo nie kryła zdziwienia.

– Żeby go sobie obrzydzić. Brwi Flo podjechały do góry.

– Dlaczego?

Liz pochyliła głowę.

– Nie wiem, co ci o mnie mówił...

Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami.

– W ogóle nic mi nie mówił.

– Moja rodzina była, jakby to powiedzieć... – brnęła dalej Liz. – To się teraz nazywa toksyczna. Wtedy nie znano jeszcze tego określenia, ale taka właśnie była.

– Nie musisz mi tego mówić. Nie chciałam cię o nic pytać.

– Chciałaś i miałaś rację. Zależy ci na szczęściu synów i jako matka masz prawo wiedzieć. Mam nadzieję, że zechcesz mnie wysłuchać.

Fio skinęła głową.

– Mój ojciec – ciągnęła Liz – był bardzo przystojnym mężczyzną i kobiety za nim szalały. Wykorzystywał to i nie grzeszył lojalnością wobec mojej matki.

– A ona mimo to z nim została...

– Tak. Skąd wiesz?

– Gdyby od niego odeszła, cierpiałaby jeszcze bardziej. Liz zmarszczyła czoło.

– Ona bardzo go kochała.

– Mam nadzieję, że jej wytrwałość się opłaciła.

– Nie wiem. Moja matka umarła. Flo spojrzała na nią ze współczuciem.

– Bardzo mi przykro.

Liz podniosła na nią uważny wzrok.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że masz nadzieję, że to się jej opłaciło?

Matka Joego zapatrzyła się w dal.

– Jedynym powodem trwania przy kimś, mimo że nam to sprawia ból, jest świadomość, że bez niego cierpielibyśmy jeszcze bardziej. Gdyby twoja matka otrzymała coś w zamian za swoją lojalność, można by powiedzieć, że w sumie odniosła zwycięstwo. Jeśli jednak nie.

Flo urwała i Liz natychmiast wtrąciła:

– Jak można mówić o zwycięstwie? Przecież te całe lata męki...

– W wyobraźni ujrzała zalaną łzami twarz matki.

Flo lekko pogłaskała ją po dłoni.

– Tylko sami małżonkowie mogą to wiedzieć. Nikt postronny, nawet dzieci, nie ma pojęcia, co naprawdę dzieje się w ich życiu.

A takie sytuacje są bardzo ciężkie dla wszystkich, dla całej rodziny, zwłaszcza jeśli się to ciągnie latami.

– Rozwód też jest bolesny.

– Bywa, że rozstanie – rzekła Flo z namysłem – jest jedynym wyjściem. Daje człowiekowi dystans i pozwala właściwie ocenić sytuację. Wiara, że czas sam coś odmieni, prowadzi nieraz na manowce i niczego nie rozwiązuje.

Liz zamyśliła się. Coś w głosie Flo wskazywało na to, że podobna sytuacja jest jej znana nie tylko z teorii.

– Skąd wiesz? Joe mówił, że od trzydziestu pięciu lat jesteście bardzo szczęśliwym małżeństwem.

Flo lekko odwróciła głowę i Liz nie mogła teraz widzieć wyrazu jej twarzy.

– To prawda... Chociaż i my mieliśmy problemy. Nawet rozstaliśmy się na jakiś czas.

O tym Joe nigdy nie wspominał.

– Naprawdę?

Flo zwróciła ku niej twarz.

– Tak. I to z mojej winy. O ile wiem, mój mąż nigdy mnie nie zdradził. A jest przecież bardzo przystojny. Joe wdał się w niego.

– Tak, zauważyłam, że są bardzo do siebie podobni. – Mówiąc to, Liz gorąco zapragnęła, by jego matka zapewniła ją, że Joe będzie równie dobrym mężem co jego ojciec.

Ale przecież żadne zapewnienia nie są jej potrzebne. Sama wie, jaki on jest; już się przekonała. Ale w tej chwili nie to jest najważniejsze. Teraz musi zrozumieć, co jej właśnie wyznała jego matka. Państwo Marchetti też mieli problemy, wcale nie byli małżeństwem doskonałym. Czyżby Joe o tym nie wiedział?

– Oboje z Tomem bardzo się staraliśmy odbudować nasze małżeństwo – mówiła dalej Flo – bo zrozumieliśmy, jak bardzo się kochamy. Zawsze będziemy się kochać. Ludzie, którzy to o sobie wiedzą, mają szansę uratować swój związek.

– Jesteś tego pewna?

– Ja to wiem z doświadczenia.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Pierwsza odezwała się starsza z nich.

– Nie odwracaj się od czegoś, co może być takie piękne, kochanie.

Liz powoli skinęła głową.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

Kątem oka spostrzegła, że Joe idzie w ich stronę ze szklaneczkami ponczu. Serce zabito jej mocno, ale nie czuła już dawnego lęku. Tak jakby rozmowa z jego matką utorowała jej drogę i skierowała ku czemuś, czego jeszcze nie знаła. Strach zniknął, jakby ktoś stanowczym gestem rozgarnął mrok. Liz stanęła w pełnym świetle. Nie bała się. Nie bała się niczego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– A któż to?

Otworzyła drzwi i spojrzała na stojącego w progu gościa.

– Przepraszam, że wpadam bez telefonu. – Joe nie wyglądał na zmieszanego. Na jego twarzy malowała się radość, że ją widzi. Nie wiedział, że można za kimś tak tęsknić.

A ona? Czy się cieszy? Tak, i nie zamierza tego kryć.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić – powiedziała.

Uśmiechnął się szeroko.

– Żeby mnie znowu skarcić? Liz skrzywiła się.

– Nigdy mi nie wybacysz. A przecież cię przeprosiłam.

– Zastanowię się. Dlaczego chciałaś do mnie dzwonić?

– W piątek urządzamy przyjęcie dla wolontariuszy. Dyrekcja doceniła nasz program i będziemy kontynuować akcję. Mam nadzieję, że przyjdiesz.

– A ty? Weźmiesz w tym udział? Liz przytaknęła.

– Tak. Personel ma przygotować poczęstunek. Chcemy wam podziękować.

Jak mógłby nie skorzystać z okazji?

– Przyjdę na pewno.

Od wesela Nicka minęły dwa dni. Nie mógł sobie znaleźć

miejsca i słusznie założył, że kiedy ją zobaczy, odzyska spokój. Przynajmniej na razie.

– Wejdz, proszę. – Liz usunęła się, robiąc przejście i Joe z uszczęśliwioną miną wśliznął się do środka. – Właśnie zrobiłam sałatkę. Zostaniesz na kolacji, jeśli usmażę mięso?

Zostałby u niej nawet gdyby kolacja miała się ograniczyć do samego zielska. Przecież szedł do niej z nadzieją, że go zaprosi. Na ślubie Nicka świetnie się rozumieli, a po rozmowie z jego matką Liz zrobiła się jakaś inna, bardziej odprężona, jakby coś się zmieniło. Bardzo mu się podobała właśnie taka.

– Wyglądasz na zdyszanego. Napijesz się piwa?

– Z przyjemnością.

Przyjemność tę wydatnie zwiększył widok jej bioder, które ukazały się w całej krasie, kiedy Liz pochyliła się nad lodówką. Joe chrząknął i odwrócił wzrok.

– Co słyszeć w pracy? – spytała, podając mu puszkę. – Jak na dyrektora wyglądasz bardzo przystępnie. Jak tam twoje ludzkie zasoby?

– Na wyczerpaniu. – Komicznie wzniosł oczy do sufitu. Liz wskazała mu kanapę.

– Usiądź sobie wygodnie i opowiedz siostrze Liz, co ci dolega. Już ona znajdzie na to jakieś lekarstwo.

Joe nie kazał sobie tego powtarzać. Poszedł za nią do salonu i

ulożował się na sofie. Liz usiadła obok. Ujął jej dłoń, a ona nie tylko mu jej nie wyrwała, ale nawet lekko uścisnęła. Natychmiast zapragnął ją pocałować. Nie zrobił tego jednak, nie chcąc jej spłoszyć.

– No to opowiadaj – zachęciła go wesoło. – Co tak wyczerpało twoje zasoby?

– Nic szczególnego. Musiałem wesprzeć moralnie kolegę, który się rozwodzi. Nie mogą dogadać się z żoną w sprawach finansowych. Byłem świadkiem na ich ślubie, a teraz jestem świadkiem tego, jak wyrywają sobie meble, dzieci, a nawet domowe zwierzęta.

Liz zrobiła smutną minę.

– Bardzo przykre. Jak do tego doszło?

– Poważna różnica charakterów – sentencjonalnie odparł Joe. – Tak to się oficjalnie określa. Innymi słowy, państwo po prostu przestali się kochać.

– A czy kiedykolwiek naprawdę się kochali?

Jej pytanie zaskoczyło go. Nagle zdał sobie sprawę, że nie potrafi odpowiedzieć. Bill i Jennifer zakochali się w sobie w szkole. Długo ze sobą chodzili i wreszcie Jennifer postawiła Billowi ultimatum: albo się żeni, albo fora ze dwora. Chciała mieć dom, rodzinę i dzieci. Joe uważał, że Bill nie kochał jej, po prostu nie chciał zostać sam.

– Dobrze pytanie – odparł po dłuższej chwili. – Ale tylko oni sami mogą na nie odpowiedzieć. A dlaczego pytasz?

– Przypomniałam sobie, co mi mówiła twoja matka. Joe wydał przeciągłe westchnienie.

– Zapomniałem cię ostrzec przed Ho. Nie zawsze trzeba jej słuchać. To jej wina, że Nick i Abby są teraz razem.

– Wina? – obruszyła się Liz. – Co ona takiego zrobiła?

– Kiedyś Nick i Abby postanowili pojechać w góry. Mamy tam mały domek. Mama uroczyście nam oświadczyła, że wydziedziczy każdego członka rodziny, który w tym samym czasie ośmieli się postawić stopę w promieniu kilku kilometrów.

– I co? Nikt im nie przeszkodził?

– Wtedy właśnie się w sobie zakochali. Przez nią.

– Nie powinieneś potępiać matki.

– Dlaczego?

Liz przez chwilę nad czymś się zastanawiała. ~ To wspaniała kobieta. Zrobiłaby wszystko dla swoich dzieci.

Joe smętnie pokiwał głową.

– Tego właśnie obawiam się najbardziej.

– Nie możesz właściwie jej ocenić, bo nie masz porównania. Ja wiele skorzystałam na rozmowie z nią. W innym świetle zobaczyłam związki pomiędzy ludźmi. Nigdy mi nie wspomniałeś, że twoi rodzice rozstali się na pewien czas.

Joe drgnął. Z jego podświadomości wyłoniły się dawno zapomniane obrazy i jakiś dziwny dziecięcy lęk.

– Rozstali się?

– Tak mi powiedziała twoja matka. Nie wiedziałeś o tym? Joe zawahał się na chwilę.

– Wiedziałem... – odparł niechętnie. Miał uczucie, że cała misterna konstrukcja jego świata chwieje się niebezpiecznie. – Wiedziałem, ale chyba zapomniałem. Byłem wtedy bardzo mały. Coś usłyszałem albo Nick mi powiedział, nie pamiętam. Rodzice nigdy o tym nie rozmawiali. Wiesz, o co im poszło?

Liz pokręciła głową.

– Powiedziała tylko, że to była jej wina i że najważniejszą rzeczą jest miłość. Jeśli ludzie się kochają, przezwyciężą wszelkie trudności, jeśli nie – przegrają.

– Tak jak twoi rodzice?

– W pewnym sensie. Flo to bardzo mądra kobieta.

– Powiedziała, że twoja mama źle zrobiła, licząc na miłość, której nie było?

Liz zmieszła się.

– Tak tego nie ujęła. Od rozmowy z nią bardzo dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że moja matka została z moim ojcem, bo nie chciała być sama. Nie wiem, czy go kochała. Ja nigdy nie pozwoliłabym się tak traktować. Może twoi znajomi są

mądrzejsi, niż ci się wydaje. Może słusznie się rozwodzą.

Patrzył na nią ze zdziwieniem. Mówiła zupełnie nowe rzeczy; takiej jej nie znał i to go niepokoiło.

Przypomniawszy sobie dzieciństwo. Wyparł ze świadomości problemy rodziców, bo wolał wierzyć, że są idealnie zgodni.

– Mama minęła się z powołaniem – oznajmił schrypniętym głosem. – Powinna zostać psychologiem rodzinnym.

Liz uśmiechnęła się.

– Jest wspaniała jak cała twoja rodzina. Poczuję, że budzi się w nim zazdrość.

– Tak myślisz?

– Rozmawiałam przez chwilę z Nickiem i Abby. Jestem pewna, że będą znakomitym małżeństwem.

– Mam nadzieję – potwierdził ostrożnie.

– Otacza ich niewidzialny fluid, który się czuje, kiedy się z nimi przebywa – dodała Liz, rozmarzona.

Joe okazał się bardziej przyziemny.

– Mam nadzieję, że nie będą zawracać głowy sędziemu swoimi zardzewiałymi garnkami i starą kuchenką.

Liz zerknęła na niego.

– Ależ my jesteśmy cyniczni!

– Sama zaczęłaś. Zrobiła łobuzerską minę.

– Słuchaj, mój ty pesymisto. Masz cudownych rodziców i

fantastycznych braci.

Nigdy nie zostawi jej sam na sam z tymi gagatkami!

– Skoro tak sądzisz...

– A wszyscy jesteście dlatego tacy wspaniali, że wasi rodzice przekazali wam urodę i zasady moralne.

– Opowiadasz...

– Flo i Tommy dali swemu potomstwu to, co najlepsze.

– A któremu z potomków dali najwięcej?

Spojrzała na niego z udanym niesmakiem.

– Prosisz się o komplement?

– Nie ukrywam.

– Dobrze, jesteś najprzystojniejszy ze wszystkich braci.

– Dzięki.

– Rodzice dali wam przykład, jak uporać się z małżeńskimi problemami w imię miłości.

Joe westchnął.

– Zawiesili poprzeczkę bardzo wysoko. Dlatego nawet nie próbuję im dorównać.

– Nigdy nie wierzyłam, że mówisz poważnie.

– Dlatego szukam namiastki w opiece nad niemowlętami.

– I to ci wystarcza?

Z powagą skinął głową.

– Do pewnego stopnia. Zastępuje mi rodzinę, której nigdy nie

będę miał. A jak jest z tobą? Też ci to pomaga?

– Tak – przytaknęła, czując, że mówi nieprawdę.

Chyba nieco ją uraził, a i jemu jej odpowiedź nie sprawiała przyjemności. Nie wiedział, jak zatrzeć niemiłe wrażenie.

– Program opieki nad dziećmi to bardzo dobry pomysł – rzekł niezręcznie. – Wiele się nauczyłem, a ponadto poznałem ciebie.

Stało się o wiele więcej, pomyślał, ale nie potrafię tego nazwać. Czy to miłość? Postanowił zmienić temat. Nie chciał zawracać jej głowy; dobrze jest, jak jest.

– I przyjaźń ci wystarcza? – Drobniutka zmarszczka przecięła czoło Liz.

– Całkowicie – przytaknął gorliwie.

– Rozumiem – powiedziała i wysunęła dłoń z jego ręki. Ujrzał w jej oczach wielki żal i rozczarowanie.

Przyjęcie dla uczestników programu opieki nad noworodkami przypadło na początek lipca. Spotkanie miało być bardzo uroczyste. Wolontariusze spisali się świetnie i dzięki nim ambitny projekt zyskał aprobatę władz szpitala, a co więcej – obietnicę zwiększenia funduszy.

Liz z wdzięcznością pomyślała o pewnym wysokim brunecie, którego wkład w ów sukces był wprost nie do przecenienia.

Jednocześnie zjawił się niepokój. Złamała przecież jedną ze swych żelaznych zasad: nigdy, przenigdy nie przyjaźnij się z

żadnym facetem, bo to tylko przyniesie kłopoty. Szczególnie jeśli się w nim zakochasz.

Podczas jego ostatniej wizyty sporo się dowiedziała. Joe pragnie tylko przyjaźni, ani mu w głowie małżeństwo. A ona... zakochała się w nim bez pamięci.

– Liz? – Otrząsnęła się z zamyślenia.

– Witaj, Sam. Jak długo tu jesteś?

– Dłuższą chwilę. Myślamy byłaś daleko. Czyżby przy pewnym panu nazwiskiem Marchetti?

Liz uśmiechnęła się smutno.

– Być może, ale jak komuś o tym wspomnisz, uduszę cię. Sam położyła rękę na sercu.

– Nie pisnę słowa. Liz pokręciła głową.

– Nie ma o czym, jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

W jej głosie zabrzmiało wyraźne rozczarowanie.

– Przykro ci z tego powodu?

Jeszcze jak. Najgorsze, że sama na to nalegała; Joe spełnił tylko jej prośbę.

Jak mogła myśleć, że jest uodporniona na miłość? Chyba oszalała! W rezultacie zakochała się w mężczyźnie, który zamierza być jej przyjacielem, i teraz cierpi jak potępiona. Powinna udać się prosto na kardiologię i poprosić o pomoc. Ale przecież jej schorzenia nie wykaże żaden przyrząd. Na jej chorobę

nie ma lekarstwa.

– Przykro ci, że jesteście tylko przyjaciółmi? – powtórzyła Sam i Liz przecząco pokręciła głową.

– To żaden problem.

Sam spojrzała w stronę drzwi.

– Bardzo dobrze, bo właśnie przyszedł.

Liz powstrzymała się, żeby nie spojrzeć w tym kierunku. Serce zaczęło jej walić, nogi odmówiły posłuszeństwa.

Joe wyglądał cudownie. Miał na sobie białą koszulę i ciemny krawat, a na ustach – ten niesamowity uśmiech.

Przypomniała sobie jego pocałunki. Mimo bólu, jaki sprawiały jej wspomnienia, była wdzięczna losowi za to, że pozwolił jej na podobne doznania.

– Witam panie.

Joe stał obok niej w obłoku dobrej wody kolońskiej.

– Cześć, Joe ~ powiedziała Sam. – Muszę już iść. Uśmiechnął się dobrodusznie.

– Niezbyt to dla mnie pochlebne. Ja przychodzę, a ty uciekasz. Liz też wolała nie zostawać z nim sam na sam.

– Gdzie się tak śpieszysz?

– Mam masę spraw do załatwienia. Muszę kupić ciasto.

Teraz nic nie uratuje jej przed katastrofą. Serce Liz zabiło na trwożę. Gdyby on czuł do niej to samo co ona do niego... Ale tak

go tępiła, tak go prześladowała, podejrzewała o najgorsze rzeczy... Jej zachowanie zabiłoby każde uczucie. Mosty zostały spalone, sama podłożyła pod nie ogień i teraz nie ma co płakać i rozpaczać.

Uniosła oczy i ujrzała jego uśmiechniętą twarz. Nikt i nic nie mogło jej obronić przed tą miłością.

– Co robimy?

Z trudnością zrozumiała prawdziwy sens jego pytania.

– Najpierw będzie kawa i słodycze – odparła, lekko się od niego odsuwając – a potem dyrektor wygłosi krótkie przemówienie i wręczy każdemu z was dyplom.

Z wolna zaczęli napływać goście.

– Co się z tobą działo, Liz? Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

– Jak to co?

– Szukam cię od rana. Gdzie byłaś?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Są tylko przyjaciółmi, nie wolno się dopatrywać drugiego dna tam, gdzie go nie ma.

– Teraz – rzekła drżącym głosem – muszę się zająć gośćmi. Nie jesteś jedynym wolontariuszem na tej sali.

Chociaż tylko ciebie jednego kocham... Joe włożył ręce do kieszeni spodni.

– Jesteś jakaś nieswoja. Chciałbym poznać przyczynę.

Rozejrzała się po kawiarni pełnej ludzi.

– To nie jest chyba właściwe miejsce na taką rozmowę.

– Coś cię jednak trapi. A miałem nadzieję, że tylko mi się wydaje.

Jak on wyczuł, że coś jest nie tak? Nigdy nie przyjaźniła się z żadnym mężczyzną. Może wszyscy są teraz tacy wrażliwi?

– Teraz nie będziemy o tym mówić, ale... co ty robisz?! Joe bez pardonu złapał ją za ramię i wyciągnął na patio.

Automatyczne drzwi zatrzasnęły się za nimi.

– Teraz możemy spokojnie porozmawiać. O co chodzi, Liz?

Przez chwilę miała ochotę wykręcić się od odpowiedzi. Szybko zrezygnowała. Nie znosiła fałszu; postanowiła stawić czoło sytuacji.

– Szukałeś mnie od rana, tak? Bardzo proszę, żebyś nigdy więcej tego nie robił i nie przychodził do mnie do domu.

– A to dlaczego?

Nie pozwoliła, by złość w jego głosie zbiła ją z tropu.

– Nie będziemy się spotykać. Już nigdy.

– Ale dlaczego? Nic nie rozumiem.

– Mamy inne potrzeby.

– O czym ty mówisz?

Nie tylko był zły, by! również pełen niesmaku.

– Ty szukasz przyjaźni, a ja... Drugie miejsce to nie to.

– Jakie miejsce, dlaczego drugie?

– Nie udawaj – powiedziała.

– Nie udaję. Sama mi zaproponowałaś przyjaźń, a ja...

Przerwała mu.

– Ja chcę bardzo dużo i dlatego najlepiej będzie, jak się rozstaniemy.

– Najlepiej? Dla kogo?

– Dla nas obojga.

– Ale dlaczego od razu poświęcać taką piękną przyjaźń?

– Żeby nikogo nie skrzywdzić.

Ostatnie słowa wypowiedziała głośno i bardzo wyraźnie. Joe nie docenił jej determinacji.

– Zwariowałaś! Może za długo przebywałaś na słońcu bez kapelusza? Co ja takiego zrobiłem, że znowu mi nie ufasz? – Palcami ścisnął skronie. – Nigdy bym cię nie skrzywdził – oświadczył równie dobitnie jak przed chwilą ona.

Już to zrobiłeś, pomyślała. Oferujesz mi tylko przyjaźń, a ja pragnę miłości. Jeśli to dalej potrwa, powtórzę błędy mojej matki. Tak jak ona uwierzę w coś, co nie istnieje.

Położyła dłonie na jego ramionach, rozkoszując się ciepłem i siłą jego ciała. Po raz ostatni.

– Wiem, że nigdy nie skrzywdziłbyś mnie świadomie – powiedziała cicho.

– Dlaczego nagle zmieniasz zasady gry? – spytał z goryczą. Bo wszystko się zmieniło, bo zrozumiałam, że bardzo cię kocham, a ty nigdy nie odwzajemnisz mojego uczucia.

– Nic nie mów – szepnęła – bo potem mógłbyś żałować.

– Już żałuję tego, co powiedziałaś.

– Po prostu się pożegnajmy. , .

Nie mogła się powstrzymać; musiała go pocałować. Wspięła się na palce i dotknęła wargami jego policzka. Joe odwrócił głowę i ich usta się spotkały.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Całował ją długo, a wzburzenie dodało mocy jego pocałunkom. Liz nie może go opuścić, nie pozwoli jej odejść. Zatrzyma ją siłą swojej namiętności. Sposób, w jaki reagowała na dotyk jego warg, obudził w nim na nowo nadzieję. Ustami poszukał wrażliwego miejsca za jej uchem. Liz przylgnęła do niego całym ciałem, jakby chciała się w niego wtopić.

Nie miał wątpliwości: groźba rozstania została zażegnana. Odsunął od niej twarz i lekko się uśmiechnął.

– Nieźle jak na ludzi, którzy mają przestać się widywać. Prawie natychmiast pożałował tych słów. Gdyby mógł, cofnąłby je i zatarł po nich wszelki ślad.

Liz nagłym ruchem wyswobodziła się z jego ramion.

– Puść mnie.

– Liz, proszę cię... Energicznie pokręciła głową.

– To była pomyłka.

– Odniosłem inne wrażenie.

– Nie mogę. Proszę, pozwól mi odejść.

W jej głosie brzmiała tak wielka rozpacz, że Joe opuścił ramiona. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał się, by natychmiast nie objąć jej znowu.

Kolejny pocałunek mógłby wiele zmienić... Zrozumiałaby, że popełniła głupstwo i naprawiłaby błąd. Przecież tak bardzo do siebie pasowali. Nie wolno niszczyć czegoś tak pięknego. Nerwowo przeczesał włosy.

– O co ci chodzi? Zrobiłem wszystko, żeby ci udowodnić, że nie jestem taki jak twój ojciec. Co się nagle stało?

– Pragniesz mojej przyjaźni. Joe skinął głową.

– Tak, bardzo mi na tym zależy. Liz zapatrzyła się w przestrzeń.

– Wszystko albo nic. Drugie miejsce mnie nie interesuje, wycofuję się z gry.

– Nie możesz całować mnie w taki sposób, a potem mówić o rozstaniu. Przecież to bez sensu.

Dotknęła palcem ust nabrzmiąłych od jego pocałunku.

– Nie cofam ani jednego słowa z tego, co powiedziałam.

– W takim razie dlaczego mnie tak całowałaś?

– To było pożegnanie – szepnęła.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, do czego się odnosi to twoje „wszystko albo nic”.

Spojrzała na niego błagalnie.

– Proszę, nie utrudniaj mi.

Nareszcie zrozumiał: Liz naprawdę postanowiła odejść. Ogarnęła go rozpacz, bo bez Liz jego życie traciło sens. Powoli

przeniósł na nią wzrok.

– Rozumiem – powiedział cicho. – Od pierwszej chwili myślałaś o mnie źle, i wszystko, co robiłem, nie miało znaczenia. Udawałaś tylko, że zaczynasz mi ufać.

Podniosła rękę w bezradnym geście.

– Joe, proszę, nie... Nie słuchał jej.

– Dam ci pewną radę. Następnym razem, jak ci się napatoczy jakiś facet, od razu mu powiedz, że powinien mieć skrzydła, a jeśli się będzie chciał z tobą zaprzyjaźnić, dodaj, żeby się nauczył chodzić po wodzie.

Nigdy nikt go tak potwornie nie rozczarował. Nie pokaże jej, jak bardzo cierpi. Odwrócił się i odszedł.

– Ty z nim pogadaj.

– Sam z nim pogadaj. Ja się boję, może ugryźć.

Słowa braci docierały do niego jak zza ściany. Joe siedział nad basenem w posiadłości rodziców i usiłował nad sobą zapanować. Luke i Alex strasznie go denerwowali.

– Idźcie stąd – jęknął.

– Nie możemy. – Alex usadowił się na leżaku obok niego.

– Możecie, to bardzo łatwe. Wystarczy postawić jedną nogę, potem drugą, i tak dalej.

Luke zaszedł go z drugiej strony.

– Mama nas tutaj przysłała z pewną misją. Nie możemy wrócić

z pustymi rękami, bo nie da nam deseru.

– Czego ode mnie chcecie?

Doskonale wiedział. Zachowywał się jak idiota, ale nic nie mógł na to poradzić. Niepotrzebnie uległ namowom matki i zgodził się przyjść. Nie powinien być wśród ludzi. Czuł się stary i zmęczony.

– Co się z tobą dzieje, braciszku?

Joe przeniósł umęczone spojrzenie na Luke'a.

– Zgadnij.

Zachowywał się jak dzieciak, któremu zabrano zabawkę. Dąsał się na cały świat i z nikim nie chciał się bawić. A przecież jest dorosłym człowiekiem. Ale odebrano mu coś znacznie więcej: odebrano mu Liz. Nigdy nie pozna szczęścia, które stało się udziałem Nicka i Abby. Mógłby go zaznać jedynie z Liz, a ona powiedziała mu, że wszystko skończone. Usłyszał, że bracia wstają.

– Mama idzie, uciekajmy.

Dobiegł go odgłos oddalających się kroków i sam chciał uciec gdzieś bocznym wyjściem, ale nie zrobił ruchu. Przecież w rzeczywistości przyszedł tu, żeby z kimś porozmawiać.

Zaskrzypiał wiklinowy fotel i Joe poczuł zapach perfum.

– Co to za zachowanie? Tyle razy ci mówiłam, że jak nie masz nic miłego do powiedzenia, to lepiej milcz. A ty nic, tylko na nich

warczysz.

– Nie broń ich, mamó. To dobre numery, ci moi bracia.

– Na mnie też zamierzasz się złościć?

– Nie.

Flo poruszyła się w fotelu.

– Takie jednosylabowe odpowiedzi mnie nie zadowolają.

Nieźle się zapowiada. Joe otworzył oczy i skierował wzrok na matkę.

– Czego chcesz się dowiedzieć?

– Co ty właściwie zrobiłaś Liz? Waśnie. Spojrzał matce prosto w oczy.

– Dlaczego myślisz, że coś jej zrobiłem?

– Ponieważ długo z nią rozmawiałam na weselu Nicka.

– Dużo by o tym mówić.

Przecież właśnie po tej rozmowie Liz doszła do wniosku, że muszą się rozstać. Czyżby matka spiskowała przeciw niemu? Flo wycelowała w niego wskazujący palec.

– Ona cię kocha.

– W bardzo ciekawy sposób to okazuje.

– Musisz być cierpliwy. Liz wiele przeszła, miała złe doświadczenia z ojcem, a potem jeszcze z kimś. Rozmowa ze mną pomogła jej. Zrozumiała, że nie ma się czego bać, bo prawdziwa miłość przewycięży wszystkie przeszkody.

Joe przygryzł wargi.

– To twoja wina...

– Nie mogę przytaknąć, póki nie wyjaśnisz mi, co właściwie masz na myśli.

– Liz powiedziała mi, że nie możemy się spotykać. I że wycofuje się z zawodów, bo drugie miejsce jej nie interesuje.

Flo ze zrozumieniem kiwnęła głową.

– Ma rację.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Od kiedy to ja jestem drugim miejscem?

– Czy powiedziałeś jej, co do niej czujesz?

– Między nami wszystko było jasne, dopóki tego nie popsulaś.

Coś ty jej, do diabła, powiedziała?

– Nie przeklinaj, proszę.

– Przepraszam, ale wszystko było tak dobrze... – Joe zamrugał powiekami. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ode mnie odeszła.

– Co jej głupiego powiedziałeś po ślubie Nicka?

– Dlaczego przypuszczasz, że powiedziałem coś głupiego?

– Jesteś mężczyzną, a to nieuleczalne.

– Zapominasz, że moja praca polega na obcowaniu z ludźmi.

Trochę się na tym znam.

– Ale nigdy przedtem nie byłeś zakochany. Taki stan ducha wyłącza u mężczyzny mózg, a włącza coś innego.

– Mamo, proszę... – O pewnych rzeczach wołał z nią nie mówić. – Jestem twoim synem. Jak mogłaś wziąć stronę Liz?

– Nie ma żadnych stron, kochanie. Próbowałam tylko zorientować się w sytuacji. Liz wyglądała tak pięknie na ślubie Nicka... Jestem pewna, że po rozmowie ze mną czuła się lekka i szczęśliwa. Była w tobie zakochana, jestem tego pewna. Co się zatem stało?

Joe przez chwilę myślał.

– Pojechałem do niej do domu. Tego dnia, kiedy byłem z Billem w sądzie.

– Z tym, co się rozwodzi? Przytaknął.

– Rozmawialiśmy o tym z Liz. Powiedziałem, że bardzo się cieszę, że tak się zaprzyjaźniliśmy.

Flo jęknęła.

– Jesteś niemożliwy.

– Potem ona zaczęła mówić o tym, jacy wy z tatą jesteście szczęśliwi. Dodałem, że to absolutny wyjątek i że najlepsza jest przyjaźń.

Flo znowu wydała jęk.

– Teraz wszystko jasne. Jak tylko Liz zrobiła krok do przodu, to ty musiałeś się cofnąć. Sam sobie zaszкодziłeś, mój drogi, i wygląda na to, że zrobiłeś to specjalnie.

Teraz on się zdenerwował. Zaraz zacznie mu wmawiać, że to

jego wina, a przecież nie zrobił nic złego. O czym to oni wtedy jeszcze mówili? Liz wspomniała o separacji jego rodziców.

– Możesz mi coś powiedzieć o tym, co się między wami działo, kiedy byłem dzieckiem?

Flo drgnęła i pożałował, że o tym napomknął.

– Myślałam, że tego nie pamiętasz.

– Tak tylko trochę, jak przez mgłę.

– Możemy o tym porozmawiać. Po pierwsze, to była wyłącznie moja wina.

– Co się wtedy stało?

– Okazałam się nielojalna – odparła matka po długiej chwili milczenia.

Chyba wolał tego nie słuchać.

– Mamo, nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz. Ale Flo już się otrząsnęła.

– Najwyższy czas wszystko wyjaśnić. Oboje z ojcem myśleliśmy, że lepiej będzie nie poruszać tego tematu, ale widzę, że postąpiliśmy niezbyt właściwie.

Joe potrząsnął głową.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Zainteresowałam się innym mężczyzną. To była krótka fascynacja, co niczego nie tłumaczy. Wy byliście bardzo mali, twój ojciec stale przebywał w pracy, budował nasze imperium. –

Flo głęboko westchnęła. – Nie zamierzam się tłumaczyć, po prostu chciałabym, żebyś zrozumiał. Miałam męża, ale czułam się strasznie samotna.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. To nasze sprawy. Twój ojciec wyprowadził się wówczas z domu.

– Pamiętam. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak płaczesz.

Pamiętał łzy matki i uczucie, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Tylko ty mnie wtedy widziałeś. Luke i Rosie jeszcze się nie urodzili, Alex był za mały, a Nick stale się dopytywał, kiedy tatuś wróci z podróży. Widok strachu na twojej buzi... – Głos Flo zadrżał i załamał się. – To były najgorsze chwile w moim życiu, ale jednocześnie najlepsze.

– Jak to?

– Oboje z ojcem zrozumieliśmy, jak bardzo się kochamy. Strasznie za sobą tęskniliśmy. Twój ojciec wrócił do domu i zaczęliśmy odbudowywać nasze życie. Popelniliśmy tylko jeden błąd: postanowiliśmy nigdy do tego nie wracać.

– Dlaczego nazywasz to błędem?

– Spójrz na siebie, Joe. Nigdy się nie zakochałeś, przez te wszystkie lata upajałeś się tylko szczęściem swoich rodziców.

– Przecież byliście szczęśliwi.

– Nie zawsze, chociaż było więcej rzeczy dobrych niż złych. Nikt nie jest doskonały. Takie jest życie i najwyższy czas, żebyś to zrozumiał.

– Kochałaś tamtego faceta? Flo pokręciła głową.

– Może mi nie uwierzysz, ale nie. Bardzo go lubiłam, szanowałam go i podziwiałam. Mówił, że mnie kocha, chciał się ze mną zenić. Kusilo mnie, ale nie mogłam tego zrobić.

– Dlaczego?

– Twój ojciec był jedyną miłością mojego życia. Cieszę się, że mogłam to zrozumieć.

Czuł się zagubiony; nie wiedział, co myśleć. Żal mu było ojca i czuł żal do matki, że go zraniła.

– W dalszym ciągu nie bardzo rozumiem.

– Rozstanie pozwala właściwie ocenić uczucia, wywołuje żal za tym, co było, i w rezultacie zbliża ludzi.

Joe zwiesił głowę.

– Nie wiem...

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Mogę o tym mówić tak spokojnie, bo minęło już wiele lat.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Nie, ale nie jesteś zobowiązany do zachowania tajemnicy.

Jeśli czujesz potrzebę porozmawiania o tym z braćmi albo z siostrą, masz moje pozwolenie. Mam wrażenie, że jako dziecko

wyparłeś ten fakt z pamięci, co zawsze jest szkodliwe.

Patrzył na siedzącą przed nim siwowłosą kobietę, silną i wyprostowaną; tylko delikatne drżenie jej rąk świadczyło o tym, jak wiele kosztowało ją to wyznanie. Kochał ją i szanował jeszcze bardziej niż dotąd.

– A teraz między tobą a tatą wszystko jest w porządku? Roześmiała się, poprzednie napięcie zupełnie ustąpiło.

– Jesteśmy przyjaciółmi, powiernikami, kochankami...

– Rozumiem, mamo.

– Jest po prostu cudownie. – Powiedziała to tak pewnym głosem, że zrozumiał, iż rodzinie nic nie zagraża. – Ale za to ty masz kłopoty.

– Dam sobie radę.

– Przez całe życie uciekałeś przed miłością. Powinieneś to zmienić. Walcz o kobietę, którą kochasz. Opowiedziałam ci tę starą historię, bo chciałabym cię widzieć u boku kogoś, kto zostanie z tobą na dobre i na złe. Mam na myśli Liz.

Tylko że Liz nigdy z nim nie zostanie...

– Dlaczego właśnie ona? – zapytał.

– Bo dobrze wam się razem pracuje. Nie krył zdziwienia.

– Skąd wiesz?

– Od Rosie. Przecież to jasne: po tym, jak zobaczyłeś ją pierwszy raz w szpitalu, nie mogłeś jej zapomnieć. Dlatego się

zgłosiłeś do tego programu opieki nad noworodkami.

– Ona mnie nie chce.

– To ją przekonaj.

Ostatnie zdanie Flo powiedziała tonem, który znał z dzieciństwa. Przemawiała tak do nich, kiedy uważała, że robią źle. Zawsze się wtedy poprawiali.

– Spróbuję.

Flo z dezaprobatą pokręciła głową.

– Nie podoba mi się twoja postawa. Za dużo w niej rezygnacji. Mężczyzna, który zamierza walczyć o kobietę i zdobyć ją, musi być bardziej aktywny.

Mniej więcej to samo mówiła mu Liz; wszystko albo nic. Poczul nagły przypływ energii.

– Twarda jesteś, mamó. Uśmiechnęła się łagodnie.

– Muszę, kochanie. Macierzyństwo tego wymaga.

– W takim razie, przekonam ją.

– Jak?

– Czy nigdy niczego nie odpuścisz?

– Nie, i tobie radzę to samo.

– Jeszcze nie wiem jak. Ale dopnę swego, możesz mi wierzyć.

– Dobrze powiedziane, synu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Wyglądasz jak półtora nieszczęścia.

Liz uniosła głowę znad papierów i spojrzała na stojącą w progu Samanthę.

– Nie daj się zwieść pozorom – powiedziała. – W środku wszystko we mnie śpiewa z radości.

– A ja jestem baletnicą. – Sam podeszła bliżej i pochyliła się nad nią. – Czy to ma coś wspólnego z tym wolontariuszem i z waszą przyjaźnią?

Miała zaprzeczyć, lecz Sam nie dopuściła jej do słowa.

– Interesuje mnie tylko prawda.

Liz odchyliła się na krzesło i splotła ręce na brzuchu.

– Prawda jest taka, że bardzo za nim tęsknię.

– Dlaczego? Przecież on stale tutaj jest. Przychodzi nawet o północy. Nawiasem mówiąc, nie wiem, kiedy on śpi.

Ja też nie, pomyślała z niepokojem Liz. Czyżby jego bezsenność się pogłębiła? Ciekawe, czy ma to jakiś związek z jej osobą? Joe nie śpi, bo myśli o niej? Taka ewentualność bardzo ją poruszyła. Bardziej jednak przejęła się faktem, że Joe może sobie zaszkodzić. Skoro nie śpi całe noce, a potem normalnie pracuje...

– Jak on wygląda?

– Jak nieboszczyk – wypaliła Sam. – Co między wami zaszło?

Pamiętaj, że interesuje mnie tylko prawda.

Liz westchnęła.

– Strasznie jesteś bezpośrednia, ale dobrze, powiem ci.

Poprosiłam go, żebyśmy się już nie spotykali.

– Co ci strzeliło do głowy?

– On chce się ze mną przyjaźnić.

– Tak ci powiedział?

– Zupełnie wyraźnie.

– I ty w to wierzysz? Liz wzruszyła ramionami.

– Dlaczego nie? Joe nie kłamie. Sam pokręciła z niesmakiem głową.

– Dawno nie widziałam tak głupich osób.

– O co ci chodzi?

– Przecież wy się obłędnie kochacie.

– Pozwól, że ci wyjaśnię: to ja go obłędnie kocham.

– On ciebie też.

Sam zaczęła spacerować po pokoju.

– On nie chce cię spłoszyć. Najwyższy czas zmienić temat.

– Chyba przyszedł tu w jakiejś innej sprawie. Słucham. Sam rzuciła jej spojrzenie pełne nagany.

– Nie pozwól, żeby fałszywie pojęta duma zniszczyła ci życie.

A teraz... już ci nie przeszkadzam.

Wiedziała, że koleżanka ma rację.

– Dzięki, Sam.

Po chwili została już sama ze swoimi myślami i swoim bólem. Cała nadzieja w tym, że czas zablizni rany i pozwoli jej zapomnieć o jedynym mężczyźnie, którego mogła pokochać. Wstała i podeszła do okna. Straciła okazję i teraz na zawsze pozostanie sama. Na szczęście lubi swój zawód; nie każdy musi mieć rodzinę, dzieci, męża.

– Liz? – Na dźwięk znajomego głosu serce podeszło jej do gardła. Boże! Jak strasznie za nim tęskniła.

– Witaj, Joe – odezwała się cicho.

Stał w drzwiach piękny jak marzenie i pociągający jak... jak to zwykle on.

– Po co przyszedłeś?

– Miałaś rację.

Zamrugnęła powiekami. Przyszedł jej powiedzieć, że słusznie się z nim rozstała?

– Co masz na myśli?

– Od początku podejrzewałaś, że zgłosiłem się do tej pracy dla jakiejś kobiety. Miałaś rację. – Wstrzymała oddech. – Ta kobieta nazywa się Liz Anderson. Nie mogłem jej zapomnieć. Pójdę za nią na koniec świata.

Nie do wiary!

– Joe, ja... Podniósł rękę.

– Nic nie mów. Wszystko ci wytłumaczę. Rozmawiałem z matką. Myliłem się, teraz to zrozumiałem.

Roześmiała się niewesoło, a Joe dodał:

– A ty miałaś rację, mówiąc, że popełnilibyśmy błąd.

– Jaki błąd? – spytała przestraszona.

– Gdybyśmy spotykali się jak przyjaciele, to... Rzuciła okiem na zegarek.

– Muszę iść na zajęcia!

– Liz, posłuchaj, chcę ci powiedzieć... Pokręciła przecząco głową.

– One nie mogą czekać.

Bez namysłu udał się za nią do sali numer dwa. Nie zamierzał czekać, aż skończy spotkanie z młodymi matkami, zbyt dużo czasu zmarnował. Tę sprawę trzeba załatwić od razu. W sali na szczęście były tylko cztery słuchaczki, Andie, Barbara i dwie nowe. – Zanim zaczniesz, Liz, chciałbym...

– Nie tutaj i nie teraz. Joe rozejrzał się po sali.

– Przepraszam, ale mamy z Liz pewne sprawy. Andie spojrzała na niego domyślnie.

– Romansowe? Skinął głową.

– No to wal. To może być zabawniejsze niż telenowela. Liz z wyrzutem potrząsnęła głową.

– Tak na was liczyłam.

Barbara odgarnęła z czoła jasną grzywkę.

– Widzisz, jaki jest napalony?

– Sam jej to powiem – przerwał Joe. – Liz, chcę, żebyś ze mną została.

– Jako kto? Przyjaźń już przerabialiśmy.

– Odbyłem długą rozmowę z matką... Andie zachichotała.

– A to ci maminsynek!

Joe wcale się nie stropił i nie zamierzał prac domowych brudów przed tym audytorium.

– Rozmawiała o tym z tobą, Liz, na weselu Nicka.

– Pamiętam.

– Zrozumiałem, że wszystko polega na tym, żeby znaleźć kogoś, z kim można będzie sprostać każdej sytuacji.

Kobiety zaszemrały.

– Jednym słowem, przyjaźń... Postanowił się bronić.

– To ona wymyśliła przyjaźń.

Jedna z kobiet zwróciła się teraz do Liz:

– Możesz to wytłumaczyć?

– Wyniosłam złe doświadczenia z rodzinnego domu. Joe uroczyście uniósł dłoń.

– Przysięgam, że nigdy cię nie zawiodę. Pomóżcie mi – zwrócił się błagalnie do młodych matek. – Co mam zrobić?

– Chyba mówisz nie to, co trzeba – oświadczyła Andie. – Powiedz, że ją kochasz, że nie możesz bez niej żyć... – Spojrzała na Liz. – Mówił ci już takie rzeczy?

– Nie, nigdy.

Joe wyszedł na środek sali i runął na kolana.

– Kocham cię, Liz, i pragnę, żebyś została moją żoną. Jej oczy napełniły się łzami.

– Joe, ja...

– Widać, że cię uwielbia – rzekła Barbara z satysfakcją. Liz otarła łzy.

– Wiem, byłam szalona, ale bardzo się bałam. Dlatego zaproponowałam mu przyjaźń. A tak naprawdę...

Pochyliła się, ujęła jego twarz i zaczęła go całować. Joe uniósł się z wolna z kolan.

Kiedy skończyli, w sali nie było już nikogo.

– Zepsułem ci wykład – uśmiechnął się Joe. – A teraz chciałbym cię o coś zapytać. Dlaczego tak łatwo nawiązałaś kontakt z moimi braćmi, a ja musiałem długo przełamywać lody?

– Od początku mi się podobałeś i tylko ty mogłeś naprawdę mnie skrzywdzić. Ze strony twoich braci nic mi nie groziło.

Objął ją czule.

– Nigdy cię nie zranię. Nie jestem taki jak twój ojciec.

– Wiem – przytaknęła. – A ja nie jestem taka jak moja matka.

Jestem silna i niezależna, i dam sobie radę. – Uniosła ku niemu rozjaśnioną twarz. – Rozmawiając z Flo, zdałam sobie sprawę, że cię kocham. I że pragnę z tobą zostać, bo jesteś cudownym człowiekiem.

– I wiem, jak uszczęśliwić nas oboje. Wyjdiesz za mnie?

– Tak. Naprawdę chcesz ze mną spędzić życie?

– Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

Dotknął ustami jej ust. Bez słów, pocałunkiem powiedział jej, jak wielka jest jego miłość, i że będzie trwała wiecznie.